

KATARZYNA KOBYLARCZYK
W TYM SĘK!





1. DWÓR Z DROGINI (MUZEUM – NADWIŚLAŃSKI PARK ETNOGRAFICZNY W WYGIEŁZOWIE I ZAMEK LIPOWIEC)

ul. Podzamcze 1, Wygiełzów

2. ZAGRODA ZE STANIĄTEK (MUZEUM – NADWIŚLAŃSKI PARK ETNOGRAFICZNY W WYGIEŁZOWIE I ZAMEK LIPOWIEC)

ul. Podzamcze 1, Wygiełzów

3. DWÓR MONIAKÓW (MUZEUM – ORAWSKI PARK ETNOGRAFICZNY W ZUBRZYCY GÓRNEJ)

Zubrzyca Górna 388

4. TARTAK I FOLUSZ (MUZEUM – ORAWSKI PARK ETNOGRAFICZNY W ZUBRZYCY GÓRNEJ)

Zubrzyca Górna 388

5. WILLA OKSZA W ZAKOPANEM (MUZEUM TATRZAŃSKIE IM. DRA TYTUSA CHAŁUBIŃSKIEGO W ZAKOPANEM)

ul. Zamoyskiego 25, Zakopane

6. CHAŁUPA GĄSIENICÓW SOBCZAKÓW W ZAKOPANEM (MUZEUM TATRZAŃSKIE IM. DRA TYTUSA CHAŁUBIŃSKIEGO W ZAKOPANEM)

Droga do Rojów 6, Zakopane

7. KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI Z ŁOSOSINY DOLNEJ (SĄDECKI PARK ETNOGRAFICZNY, MUZEUM OKRĘGOWE W NOWYM SĄCZU)

ul. B. Wieniawy-Długoszowskiego 83b, Nowy Sącz

8. ZBÓR EWANGELICKI ZE STADEŁ (SĄDECKI PARK ETNOGRAFICZNY, MUZEUM OKRĘGOWE W NOWYM SĄCZU)

ul. B. Wieniawy-Długoszowskiego 83b, Nowy Sącz

9. ZAGRODA MAZIARSKA W ŁOSIU (MUZEUM DWORY KARWACJANÓW I GŁĄDYSZÓW W GORLICACH)

Łosie 34

10. CERKIEW GRECKOKATOLICKA W BARTNEM (MUZEUM DWORY KARWACJANÓW I GŁĄDYSZÓW W GORLICACH)

Bartne

11. ZAGRODA FELICJI CURYŁOWEJ W ZALIPIU (MUZEUM OKRĘGOWE W TARNOWIE)

Zalipie 135

12. DWÓR W DOŁĘDZE (MUZEUM OKRĘGOWE W TARNOWIE)

Dołęga 10

**KATARZYNA KOBYLARCZYK
W TYM SĘK!**

Kraków 2012



Małopolski Instytut Kultury
ul. Karmelicka 27, Kraków
tel.: +4812 422 18 84
www.mik.krakow.pl



instytucja kultury
Województwa
Małopolskiego

Redakcja merytoryczna i dobór ilustracji:
Karolina Pachla-Wojciechowska
Redakcja i korekta: Ewa Ślusarczyk
Projekt graficzny i skład: Agnieszka Buława-Orłowska
Przygotowanie do druku: Andrzej Karlik

ISBN: 978-83-61406-72-3

© by Małopolski Instytut Kultury, Kraków 2012

Publikacja powstała w ramach XIV Małopolskich Dni Dziedzictwa Kulturowego.
www.dnidziedzictwa.pl

Małopolski Instytut Kultury dziękuje Dyrektorom i Pracownikom Muzeów, które są współorganizatorami XIV edycji MDDK, za współpracę przy realizacji programu wydarzenia oraz za pomoc w przygotowaniu tej publikacji i udostępnienie materiałów.

Współpraca:

 **Muzeum Etnograficzne**
im. Seweryna Udzieli w Krakowie



Nakład: 9000 egz.

Druk: Drukarnia Skleniarz

Szanowni Państwo!

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego na trwałe wpisały się w kalendarz największych kulturalnych imprez regionu. Każda edycja Dni to odkrywanie i eksplorowanie różnorodności i bogactwa Małopolski – czekają na nas niepowtarzalne miejsca, pamiątki przeszłości i niebanalne postaci.

Ten czas zachęca, by na nowo spojrzeć na nasze lokalne, regionalne dziedzictwo. Podczas zwiedzania, warsztatów, wykładów czy koncertów można nieco inaczej niż na co dzień doświadczyć przeszłości, tak, by będąc – w różnych aspektach – elementem naszej wspólnej tradycji, stawała się jednocześnie częścią osobistej historii każdego z nas.

Zapraszam do wspólnego odkrywania naszego pięknego regionu!


Marek Sowa

Marszałek Województwa Małopolskiego

Po raz kolejny mamy zaszczyt zaprosić pasjonatów regionu do udziału w Małopolskich Dniach Dziedzictwa Kulturowego. Tegoroczna edycja jest wyjątkowa nie tylko pod względem treści – tematem wiodącym tej odsłony jest architektura drewniana – ale także ze względu na jej wydłużenie do dwóch weekendów.

Szczególnie polecam lekturę niniejszego wydawnictwa. Dzięki zamieszczonym w nim opowieściom o niezwykłych losach wybranych miejsc i przedmiotów, mamy szansę cofnąć się w czasie i zanurzyć w historii.



Joanna Orlik
Dyrektor Małopolskiego Instytutu Kultury

DWÓR Z DROGINI WYGIEŁZÓW, MUZEUM – NADWIŚLAŃSKI PARK ETNOGRAFICZNY W WYGIEŁZOWIE I ZAMEK LIPOWIEC

Dwór przebudowywano kilkakrotnie, obecny wygląd jest rekonstrukcją stanu z czasów Adama Jordana z dodaniem powstałego w XIX w. kamiennego portyku. Zbudowany jest z belek ułożonych na zrąb, a następnie otynkowany z zewnątrz z użyciem gliny; nakryty dachem łamanym tzw. polskim i pokryty gontem.

Sypialnia z kąciakiem do mycia osłoniętym neorokokowym parawanem, a w nim komoda – umywalnia i porcelanowy zestaw naczyń toaletowych. W pokoju również: nocny fotel i niciak, czyli stolik do robótek ręcznych

Gabinet pana wyposażony m.in. w biurko, szafę biblioteczną i komplet wypoczynkowy. Można tu również zobaczyć rozkładany stolik do gry w karty, stolik z kolekcją fajek oraz barometr. To tu znajdują się zdjęcia rodzinne Bzowskich oraz portret ostatniego właściciela dworu z Drogini, Kazimierza Janoty Bzowskiego (1864–1946).

Pokój rezydentki, przeznaczony dla dalszych krewnych mieszkających w dworze

Salon, warto tu zwrócić uwagę na: meble w stylu biedermeier, wysokie, wolnostojące lustro pomiędzy oknami, tzw. tremo, sekreterę z licznymi szufladkami i skrytkami na kosztowności i dokumenty oraz rozkładanym blatem do pisania listów i przeglądania czasopism. To tu znajdują się portrety dawnych właścicieli dworu: Kazimierza Bzowskiego (1792–1862) i jego syna Bogusława (1821–1911).

Pokój pani z meblami w stylu Ludwika Filipa (2. poł. XIX w.) i dużym, wolnostojącym lustrem, tzw. psyche. Warto przyrzeć się cennej porcelanie i szkłu zgromadzonym w serwantce oraz samowarowi z wytwórni w Tule.

KALENDARIUM

Lata 20. XVIII w. Adam Jordan kupuje leżące w powiecie myślenickim dobra drogińskie i staje się właścicielem drewnianego dworu (parterowego, nieotynkowanego, pokrytego gontem), który jest tak zniszczony, że nie nadaje się do zamieszkania. Podejmuje decyzję o wzniesieniu nowego domostwa.

1730 Nowy dwór zostaje ukończony.

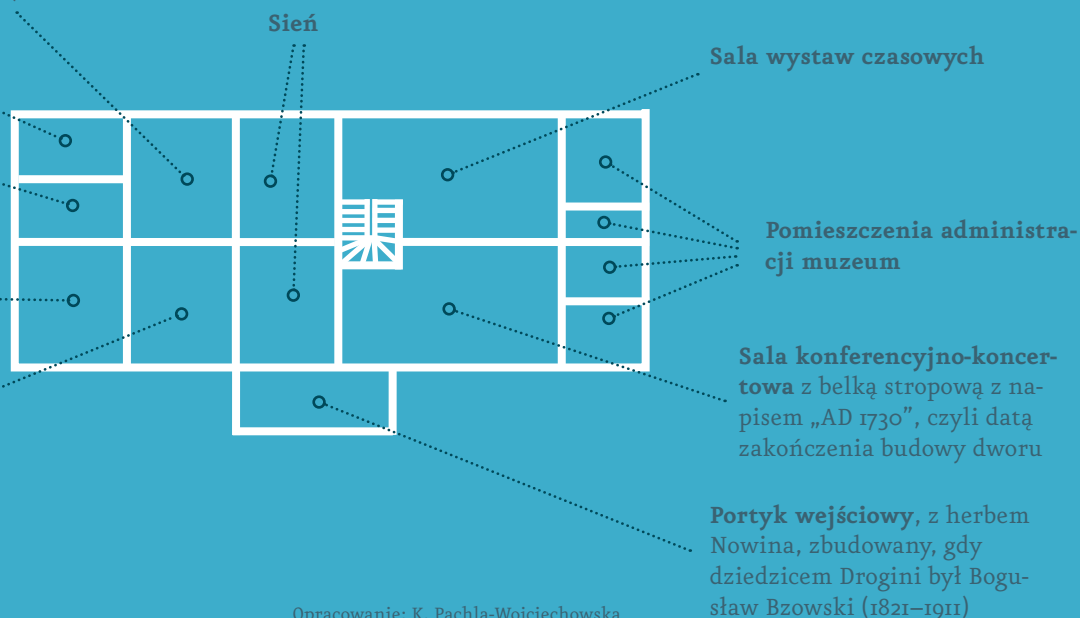
1846 Podczas rabacji galicyjskiej zamordowany zostaje dziedzic dworu, Dominik Dąbski, a majątek przechodzi na własność jego siostry Marianny, żony Kazimierza Janoty Bzowskiego herbu Nowina. Od tamtego czasu aż do 1945 r. dwór należeć będzie do rodziny Bzowskich.

1945 Majątek zostaje znacjonalizowany, dwór będzie wykorzystywany m.in. jako magazyn nawozów sztucznych, przedszkole, Ośrodek Szkolenia Rolniczego.

1985 W związku z decyzją o budowie zbiornika dobczyckiego dwór zostaje rozebrany.

1996 Materiał z rozebranego dworu zostaje zakupiony przez Muzeum w Chrzanowie z przeznaczeniem do Parku Etnograficznego w Wygiełzowie, wówczas oddziału Muzeum w Chrzanowie.

2002–2006 Rekonstrukcja budynku w Parku Etnograficznym w Wygiełzowie



PORTRET ZNALEZIONY W TUBIE O WYPCHANYM KONDORZE, BIAŁYCH KRÓLIKACH, TRZYNASTU POMARAŃCZACH I INNE OPowieści z ZATO- PIONEJ DROGINI

Ta historia zaczyna się w piwnicy. Tuba leżała tam przez lata – tak długo, że wszyscy bali się ją otworzyć. Wydało się, że to, co znajduje się wewnątrz, musi być już zetlałe i że wyjęte, rozsypie się w dłoniach. Wreszcie ktoś z rodziny zebrał się na odwagę. Wieko puściło. W tubie, zwinięte, tkwiły obrazy. Z płócien na potomków spojrzwały olejne oczy przodków: dwóch Kazimierzów i Bogusława Janota Bzowskich, właścicieli dworu w Drogini.

Potomkowie długo debatowali, co z nimi zrobić.

Ściany mieszkań, w których teraz mieszkali, były zbyt niskie, by wieszać na nich przodków, a Drogini już nie istniała. Pochłonęły ją wody jeziora. Przedtem wieś ogołocono: wycięto 70 hektarów lasu, wysiedlono ludzi – żywych z chat i martwych z cmentarza. Zabrano nawet zmarłych austriackich żołnierzy z czasów pierwszej wojny. Dwór, którego ściany były na tyle wysokie, że można było wieszać portrety (a nawet wypchanego kondora, którego ktoś z potomków ustrzelił w Andach), przez lata niszczał, rozłożony na belki. Odbudowano go niedawno. Stał teraz na wzgórzu w Nadwiślańskim Parku Etnograficznym w Wygietzowie i pachniał świeżym drewnem.



Portret Kazimierza Bzowskiego
(1792–1862), mal. niezany, z arch.
MNPE



Kazimierz, Bogusław i Jacek Bzowski,
ze zbiorów rodziny Bzowskich, 1905

Przodkowie postanowili, że jeśli gdzieś jest miejsce portretów, znalezionych w tubie, to właśnie tam.

PRZEDTEM. ZE ŚCIANY SALONU

Kiedy go portretowano, prapradziadek Kazimierz nie był już młodzieńcem. Przyszytych wąsy kryły bruzdy wokół ust, na skroniach pogłębiały się zakola. Pozował w mundurze kapitana stanów galicyjskich, z dłonią na rękojeści szabli. Był pierwszym Bzowskim w Drogini. Poślubił Mariannę z Dąbskich. Żona wniosła mu w wianie drewniany dwór, którego historia sięgała XVI wieku. Bzowscy mieli zostać w Drogini na prawie sto lat.

Olejny portret Kazimierza wisiał na ścianie salonu. Prapradziadek miał stamtąd dobry widok. Patrzył, jak zmieniają się pokolenia, a zarząd dworu przechodzi w ręce wnuka – jego imiennika (z czasem wnuk także dorobi się portretu i trafi do jednej tuby z dziadkiem). Widział, jak Kazimierzowi rodzi się ośmioro dzieci i gromadka wnucząt. Wszyscy latem zjeżdżali do Drogini na wakacje, ale dzieciarnia nie zakłócała spokoju portretom. Wolała wyprawy do ogrodu. Wzrok prapradziadka z obrazu tam nie sięgał, Kazimierz nie wiedział więc, że Krzysztof, jego prawnuk wchodzi na drzewo, by pilnować, czy nie nadchodzi ogrodnik Felek i dawać sygnał do ucieczki w szparagi. Nie mógł też zobaczyć, jak prawnuczęta wchodzi do piwnicy w ogrodzie warzywnym i wyciągają stamtąd na światło dnia piszczące nietoperze...

Dwór był wówczas samowystarczalny. Kupowało się tylko kawę, herbatę, sól i cukier. Bzowscy mieli staw z ryba-



Drogini, ze zbiorów rodziny
Bzowskich, lata 30. XX w.

mi, ule, krowy, świnie, gęsi i kaczki, ogród, tysiące hektary las, pola i sad. Hodowali małe bażanty, którym potem pozwalano odlecieć w wiklinę. Były nawet pomarańcze. Rosły w oranżerii, lecz dojrzały tylko raz. Owoców było trzynaście. Praprawnuczka Kazimierza, Teresa, kiedy nie widział jej nikt, nawet oczy przodka z portretu, zerwała jeden i zjadła.

POTEM. DZIESIĘĆ LAT W SKRZYNI

Kiedy w 1985 roku przenoszono Droginię, by na jej miejscu urządzić sztuczne jezioro, ogród dawno zdziczał. Dwór od lat stał pusty. Nikt już nie pilnował zdewastowanych ścian. Odkąd w 1945 roku władza wypędziła stąd Bzowskich, budynek niszczał. Składowano w nim nawozy, bawiono przedszkolaki, edukowano uczniów szkoły rolniczej, wreszcie – opuszczono. I pewnie warstwą na średnio jedenaście metrów głęboką zalałyby go wody Raby, gdyby dyrekcja zakładów Unitra z Osieczan nie wymyśliła, że byłby z niego niezły ośrodek konferencyjny.

Dwór rozebrano. Belki, okna, kolumny z portyku przeniesiono i złożono w skrzyniach pod wiatą. Miały na powrót stanąć na należącej do firmy działce. Nie stanęły jednak. Nadszedł 1989 rok. Unitra przekształciła się w Diamsil, Diamsil zaś nie miał już żadnej działki, na której mógłby postawić dwór.

Przez sześć kolejnych lat budynek – podzielony na belki, deski, framugi i kafle z pieców – leżał i butwiał.

Helena, Teresa i Jacek Bzowscy – dzieci Kazimierza Bzowskiego i Wandy z Romerów Bzowskiej, ze zbiorów rodziny Bzowskich, pocz. XX w.



Portret Kazimierza Bzowskiego (1864–1946), mal. Stanisław Janowski, 1927, z arch. MNPE

W tle: Droginia, ze zbiorów rodziny Bzowskich, lata 30. XX w.

PRZEDTEM. ICH DNI, NASZE NOCE

Wraz z wybuchem wojny, dwór zaludnił się dziećmi i ciotkami. Mężczyźni pojechali na front.

Dnie należały do Niemców. Zjeżdżali do dworu, a obaj Kazimierze, ten żywy i ten malowany, musieli znosić ich obecność w salonie. Jeden z Niemców – urzędnik, odpowiedzialny za nadzór nad dworami – zasiadał w fotelu i ćmiąc cygaro, z dumą opowiadał o okrucieństwach, których dopuścił się na wojnie.

Nocami potomkowie Kazimierza przynosili do salonu radio. Nastawiali BBC. Spiker relacjonował postępy alian-tów we Włoszech. Nazwy zdobywanych wiosek służyły potem jako imiona dla codziennie czesanych, białych, angielskich królików, które hodowano w oficynie z przeznaczeniem na kapelusze dla dam.

POTEM. ZA PIĘCSET ZŁOTYCH

Jerzy Motyka, dyrektor Muzeum w Chrzanowie, bardzo chciał mieć dwór. Taki dwór, zwłaszcza drewniany, pasował mu do Nadwiślańskiego Parku Etnograficznego w Wygięzowie. Dlatego, kiedy dowiedział się, że w Osieczanach leży rozebrany dwór z Drogini, postanowił za wszelką cenę zdobyć go i poskładać.

W 1996 roku za pięćset złotych kupił to, co przetrwało: okna i drzwi, belki stropu, kolumny z piaskowca i wymieszane kafle z pieców. Rozpoczął poszukiwania funduszy na odbudowę. Zdecydowano, że dwór będzie miał kształt możliwie najstarszy, lecz zachowa XIX-wieczny portyk.

Krzyś Kunachowicz z łukiem, ze zbiorów rodziny Bzowskich

Teresa Bzowska i Krzyś Kunachowicz na korcie tenisowym w Drogini, ze zbiorów rodziny Bzowskich, 1940



PRZEDTEM. PRZECIĘTY NA PÓŁ

Poranki w Drogini były spokojne. Po wygrabionych ścieżkach lokaj Wojtaszek nosił Kazimierzowi, wnukowi Kazimierza z portretu, śniadanie na srebrnej tacy. Latem pan Bzowski śniadał nad stawem, w altance z tui. Jadł jajka po wiedeńsku i karmił chlebem karpie w stawie.

Czasem władzę nad altanką przejmowały ciotki. Siadały na ławeczkach i cerowały koszule albo drylowały porzeczki na tort hiszpański. Kazimierz, ten żywy, zaszywał się wówczas w kancelarii. Stały tu głębokie fotele. Między oknami wisiał pas słucki. W rodzinie krążyła opowieść, jak przed wojną prezydent Mościcki zaprosił Kazimierza do Krakowa na raut. Dziadek długo się zastanawiał, czy ubrać kontusz, czy frak. Wybrał frak. Kontusz – orzekł – włożyłby, gdyby zaprosił go król.

Takie historie opowiadano sobie przy przebijaniu grochu. Wieczorami na stół wysypywano fasolki, sortowano je i snuto gawędy. Do salonu, gdzie w złożonych ramach wisiał portret Kazimierza, docierało echo lektur Sienkiewicza i rodzinnych historii. Męski głos, w którym Kazimierz rozpoznawał, być może, swojego wnuka, opowiadał na przykład, jak Dominika Dąbskiego, dawnego właściciela dworu w Drogini, zbuntowani chłopcy przerznęli piłą na pół i jak później, kiedy już się opamiętali, poszli z pokutną pielgrzymką do Częstochowy...



Pudło na kapelusze, MNPE, z arch. MIK, fot. M. Klag

POTEM. WYPEŁNIANIE PUSTKI

W 2002 roku w Wygiełzowie wylano betonowe fundamenty pod dwór. Jeszcze tego samego roku wzniesiono ściany. W sufit jadalni wprawiono oryginalną belkę z datą 1730. Gmach stanął. Był jednak pusty.

Wystrój starego dworu z Drogini nie zachował się. Przetrwało tylko kilka mebli i portrety w tubie. Zaczęto więc szukać. Poroża jeleni do wystroju sieni nabyto od myśliwych. Skórzany fotel ze zniszczonego pałacu w pobliskiej Porębie Żegoty przekazało kierownictwo tuczarni zakładów mięsnych, które rozporządzało spadkiem po ostatniej właścicielce pałacu. Rokokową serwantkę z naklejoną na plecach karteczką z odręcznym dopiskiem „Elżbieta ks. Lubomirska” odkupiono od człowieka, który miał dostęp do magazynów, gdzie władze PRL składowały meble zwiezione ze znacjonalizowanych szlacheckich siedzib.

W jednym z pokoi muzealnicy ułożyli pudło na kapelusze, dar Katarzyny Rokosz-Harabasz. Pudło należało do jej ciotecznej babki, o której można by z powodzeniem nakręcić film dla Hollywoodu...

PRZEDTEM. GDZIE ŁAZI PANI KAMOCKA?

W południe drogiński salon także pustoszał i portret Kazimierza zostawał sam. Wszyscy żywi zbierali się w jadalni, przy stole. Być może prapradziadka Kazimierza odwiedza-

Podwieczorek w Drogini, ze zbiorów rodzinny Bzowskich, lata 30. XX w.

ła wówczas pani Kamocka. Pani Kamocka także już nie żyła – co nie przeszkadzało jej w biały dzień chadzać po dworze. Teresa, praprawnuczka Kazimierza, widziała ją tylko raz. Uprosiła wtedy mamę, by pozwoliła jej wcześniej wstać od stołu w jadalni. Była w sieni, pod schodami, kiedy usłyszała kroki. Spojrzała ukradkiem. Środkiem korytarza, o dwunastej w południe, sunęła nieznajoma dama w brązowej sukni. Za rogiem – zniknęła. Teresa opowiedziała o wszystkim mamie, a mama tylko się zaśmiała. – Jak to? Pierwszy raz widziałas ciotkę Kamocką?

Wiele lat później, kiedy trzeba już było opuścić Droginię, wyciąć prapradziadka Kazimierza ze złoconych ram, schować obrazy do tuby i pogrzebać w piwnicy; kiedy stara wieś zalewała woda, dwór zaś gnił rozłożony na belki, a nawet jeszcze później, kiedy dyrektor Motyka porywał się na odbudowę budynku w skansenie w Wygiełzowie, Teresa zastanawiała się, co się stało z ciotką Kamocką. Gdzie ona łązi? Czy została tam, na dnie sztucznego jeziora, wśród zatopionych fundamentów? A może przeniosła się do skansenu i znów dotrzymuje towarzystwa pradziadkowi z portretu?

KONIEC. GRANAT ZRZUCA BABCIĘ

Ta historia kończy się w piwnicy. Jesteśmy w ogrodzie warzywnym. Tam, gdzie kiedyś królowały nietoperze, siedzą teraz wszyscy – dziadek Kazimierz, ciotki i dzieci. Na zewnątrz, w Drogini, trwa bitwa. Obrazy we dworze trzęsą się w złoconych ramach. Przez okno salonu wpada granat. Widzi to tylko prapradziadek Kazimierz z portretu. W swym mundurze kapitana, olejnymi oczami bezsilnie patrzy, jak podmuch zrzuca ze ściany jego malowaną żonę – praprababcię Mariannę Bzowską.

Kiedy huk przycicha, Teresa wychodzi z piwnicy i zakrada się do dworu. Widzi, że obraz spadł; chowa go szybko i sama się ukrywa. Dzięki temu portret przetrwa bitwę i uniknie szabru. Wycięty z ram, wraz z wizerunkami prapradziadka Kazimierza i jego syna Bogusława, trafia najpierw na chór kościoła. Udają tam święte obrazy.

Potem dwóch Kazimierzy i Bogusław, zwinięci i umieszczeni w tubie, znajdą schronienie w piwnicy. Ale będzie to już inna piwnica i inny dom. Wkrótce do dworu przyjdą urzędnicy. Każą Bzowskim wynosić się. Teraz wszystkimi ich włościami, polami, tysiącem hektarów lasu, sadem, ogrodem i rodową siedzibą zarządzać będzie złożony z chłopów komitet folwarczny. Nazajutrz rzeczywiście zjawiają się chłopci. Są przerażeni. – Co my mamy robić? – pytają zdezorientowani. Dopiero jedna z ciotek Teresy zlituje się nad nimi i powie, kogo mają wyznaczyć do komitetu.

Wkrótce Bzowscy na zawsze opuszczają Droginię. Dziadek Kazimierz, ten żywy, w ciasnym Krakowie będzie chodził na spacerzy na Planty, żeby odetchnąć. Droginia podupadnie i zniknie. Warstwą na jedenaście metrów głęboką zatopią ją wody Zalewu Dobczyckiego. Prapradziadek Kazimierz, ten malowany, kilkadziesiąt lat spędzi w tubie w piwnicy. Będzie w niej tak długo, aż wszyscy jego potomkowie będą bali się ją otworzyć, by pozwijane płótna nie rozsypały się im w dłoniach. Wreszcie, któregoś dnia, ktoś odważy się podnieść wieko. Prapradziadek Kazimierz znów spojrzy na świat olejnymi oczami. A później jego potomkowie podejmą decyzję: skoro w Wygiełzowie jest dwór z Drogini, choćby i odbudowany, obrazy powinny tam wisieć.

Tak właśnie się stanie. Prapradziadek Kazimierz powróci na ścianę salonu i znów będzie stamtąd spoglądał na świat. Choć jest to już trochę inny salon, niż zapamiętał. I trochę inny świat.

Dziękuję paniom Annie Bzowskiej i Teresie Skarżyńskiej za opowieść o zatopionej Drogini.

ZAGRODA ZE STANIĄTEK

WYGIEŁZÓW, MUZEUM – NADWIŚLAŃSKI

PARK ETNOGRAFICZNY W WYGIEŁZOWIE

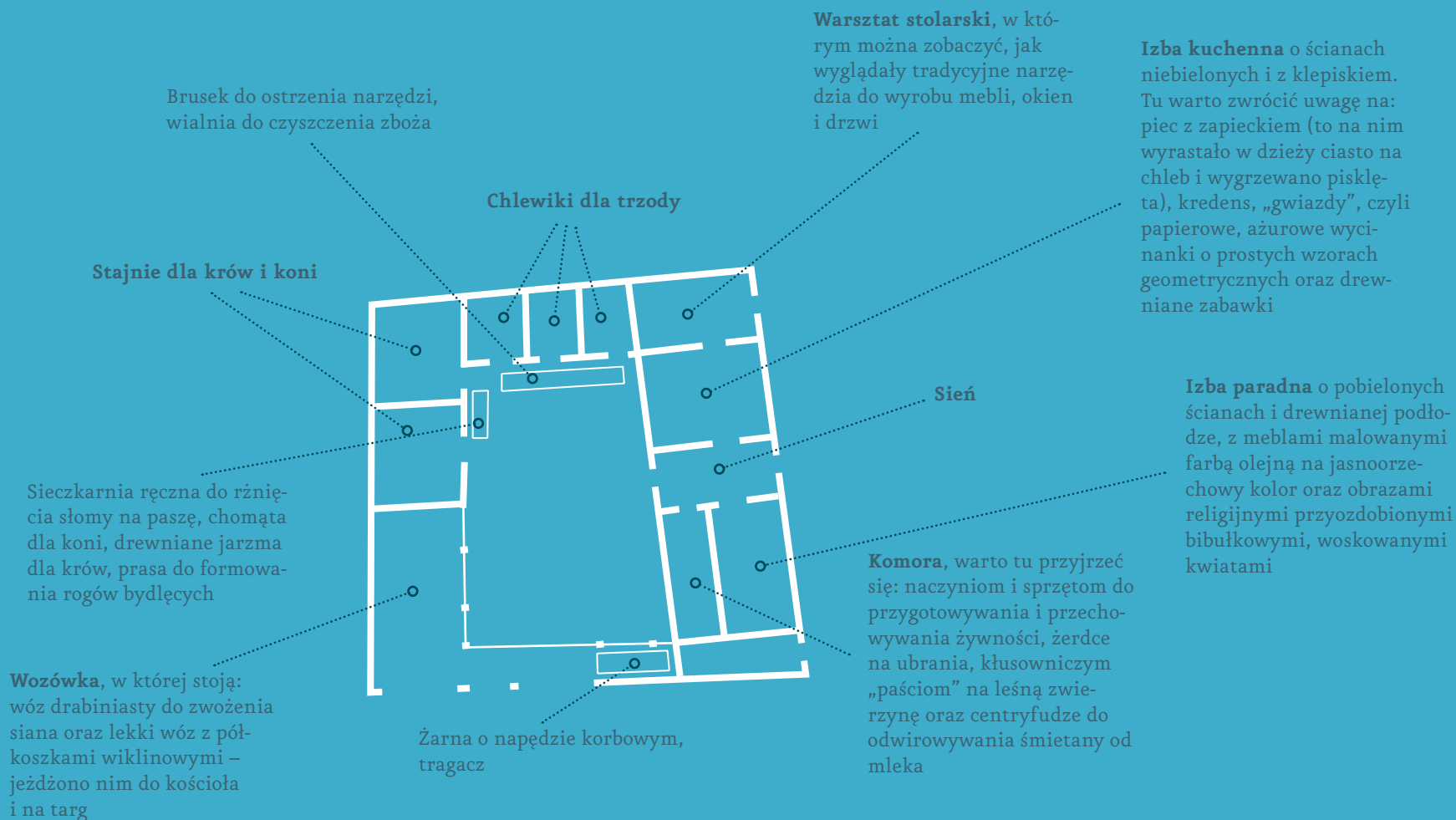
I ZAMEK LIPOWIEC

Zagroda okołowa to zabudowania mieszkalne i gospodarcze ustawione w czworobok z zamkniętym dziedzińcem w środku.

KALENDARIUM

1855 Nieopodal zabudowań klasztornych we wsi Staniątki (na wschód od głównej drogi biegnącej przez wieś) zostaje zbudowana zagroda okołowa.

Lata 70. XX w. Zagroda zostaje kupiona od jej ówczesnego właściciela Karola Szewczyka do Parku Etnograficznego w Wygiełzowie, a następnie zrekonstruowana w skansenie z zachowaniem oryginalnej bryły i układu przestrzennego.



Opracowanie: K. Pachla-Wojciechowska
Rzut: A. Buława-Orłowska na podst. materiałów
z arch. MNPE

WETERAN

O OSIEMDZIESIĘCIU KILOMETRACH WOJENNEJ TUŁACZKI, OCALENIU TATUSIA I PIERZYN, DZIELNEJ PRACY W GOSPODARSTWIE I SPOKOJNEJ EMERYTURZE W NADWIŚLAŃSKIM PARKU ETNOGRAFICZNYM PEWNEGO TRAGACZA

Weteran stał oparty o ścianę stodoły. Od dawna tak stał; w gospodarstwie był i koń, i wóz, Kazimiera nie musiała niczego na plecach nosić, więc weteran do niczego się jej nie przydawał. Stał sobie oparty i bezużyteczny, osiadał na nim kurz, ale jakoś nikomu nie przychodziło do głowy, żeby go wyrzucić z obejścia. Może był w tym sentyment do weterana, który podczas wojny uratował nogi tatusia, a może po prostu zwykła inercja, trudno orzec. W każdym razie weteran miał ponad pięćdziesiąt osiem lat, nikomu nie pomagał, ale i nie wadził, i pewnie stałby tak u Kazimierzy na podwórku aż rozpadłby się w proch i pył, gdyby nie wypatrzyła go pani ze skansenu.

- Ten tragacz – powiedziała, wskazując na weterana.
- Można by go wziąć?
- A bierzcie – zgodziła się Kazimiera. I nawet się ucieszyła, że weterana czeka w skansenie spokojna emerytura. Bardzo sobie na nią zasłużył.

WOJNA, PIERZYNY I CHLEB

Kiedy weteran pojawił się w jej życiu, Kazimiera miała dwanaście lat. Mieszkała w Podolszu, kilka kilometrów od Zatora, w widłach rzek Wisły i Skawy. Tego roku lato było tam przepiękne, suche i Skawa ledwo sączyła się po kamieniach, ale atmosfera we wsi była nerwowa – czuły to nawet dzieci. Zbyt wiele mówiło się o wojnie. Zbyt dużo

obcych pętało się po drogach. Niby handlowali sacharyną, zapalnikami i kamieniami do zapalniczek, ale tak naprawdę nadstawiali oczu i uszu. Ludzie wołali na nich rajzendry, a między sobą szeptali, że to niemieckie szpiegi. Nadchodził ciepły, słoneczny wrzesień.

Wojna wybuchła w piątek, a w niedzielę już trzeba było uciekać. Po suchych drogach obce wojska poruszały się szybciej niż ktokolwiek przypuszczał. Rodzice Kazimierzy pakowali się w pośpiechu. Zabrali ciepłe ubrania, wielki okrągły chleb, który mama akurat upiekła, i wszystkie pierzyny. Nie było wiadomo, gdzie przyjdzie spać, więc te pierzyny były naprawdę ważne. Żeby dzieci nie zmarzły, jak przyjdzie zimno.

Dzieci była czwórka. Czternastoletni Włodek, który po wakacjach poszedłby do ósmej klasy, dwunastoletnia Kazimiera, dziesięcioletni Ludwik i sześciolatek Franek. Rodzice mieli w Podolszu małe gospodarstwo – kilka arów, trochę ziemi w dzierżawie. Sadziło się tam ziemniaki i żyto, nigdy pszenicę. Zboża, które zebrali, nawet nie wiozło się do młyna. Mielilo się w młynku, dodawało dokupioną mąkę i piekło chleb. Wychodził czarny, ale jaki pyszny! Choć w innych domach dzieciom wydzielano się kromki, mama pozwalała jeść go do woli. Właśnie taki chleb – wielki, ciemny, okrągły, świeżo przez mamę upieczony – zabrali z sobą, uciekając. To podczas tej ucieczki trafił do nich weteran.

TAM I Z POWROTEM

Uciekali bez wielkiego planu i celu. Byle na wschód, dalej od frontu. W Zatorze wcisnęli się do pociągu towarowego. Wiózł rudę żelaza i było w nim strasznie twardo, ale przejechał ponad sto kilometrów w dobrym kierunku. Stał dopiero przed Dunajcem – most był zaminowany. Dalej musieli pójść pieszo. Tata załadował na plecy pierzyny i bagaże, Władek posadził sobie na barana małego Franka, mama wzięła za ręce Kazimierę i Ludwika. Poszli w dół rzeki, szukając przeprawy. Znaleźli prom, wsiedli. Byli już daleko od brzegu, kiedy nadleciały samoloty. – Niemieckie! – ktoś rozpoznał. Leciały na zachód, najwyraźniej wracając z akcji, ale i tak zniżyły lot nad samotnym promem. Na pasażerów padł strach: że rzucą bombę, ostrzelają... Kto mógł, schował się pod wozy. Ale niemieckim lotnikom nie chciało się strzelać albo nie mieli już bomb, a może po prostu uznali swoje bojowe obowiązki za wykonane i prom z Kazimierą, jej braćmi, rodzicami oraz wszystkimi ich bagażami nie niepokojony dotarł na drugi brzeg Dunajca.

Wylądowali gdzieś między Żabnem a Mościcami. To miejsce nazywało się Łęgi. Spędzili tam noc w małej wsi – noc okropną, nieprzespaną. Nieopodal trwały walki. Wiatr niósł swąd spalenizny, huk bomb, terkot wystrzałów. Niebo było czerwone od ognia. Na próżno kulili się pod doniesionymi przez tatę pierzynami – i tak nie udało im się zmrużyć oka. Nad ranem, kiedy ucichły hałasy, okazało się, że jest już po wszystkim: to koniec, już nie ma dokąd uciekać, trzeba wracać.

Mama poskładała pierzyny, tata wziął na plecy wszystkie kłamoty, Władek Franka i ruszyli z powrotem. Od domu dzieliło ich jakieś 130 kilometrów.

I właśnie wtedy, gdzieś w okolicach Bochni, dołączył do nich weteran.



ZA PIĘĆ SREBRNYCH ZŁOTYCH

Nie wiadomo, kto wpadł na pomysł, żeby go zatrudnić. Wiadomo tylko, że od niesienia grubych ubrań, zapasu jedzenia i ciężkich, zawilgłych pierzyn tacie popuchły już nogi. Jednokołowy wózek, coś w rodzaju ażurowej taczki, wypatrzyli w mijanym gospodarstwie. Mama wyjęła schowaną gotówkę, ale ludzie, do których należał tragacz, nie bardzo chcieli brać pieniądze. – A bo to wiadomo, jaki teraz będzie pieniądz? I czy będzie co za niego kupić? – wymawiali się. – Nie macie czego lepszego?

Ale rodzice, poza ubraniem, jedzeniem i pierzynami, których w żadnym wypadku nie zamierzali się pozbywać, nie mieli nic na wymianę i mama zdołała w końcu przekonać gospodarzy, żeby wzięli pieniądze. Za używany drewniany wózek zapłaciła im pięć złotych. Złotówki były wtedy porządne, srebrne i mówiło się, że są warte tyle co dolar, a przynajmniej niewiele mniej. Tragacz też był porządny: długi na prawie dwa metry, szeroki na ponad pół, miał koło obite obręczą z metalu i drewniane poprzeczki, na których można było bezpiecznie złożyć pierzyny. Musiał go zrobić dobry kołodziej, bo nie tylko przetrwał całą wojenną zawieruchę, ale i potem, w gospodarstwie, służył dzielnie i nigdy się nie zepsuł. Kazimiera nie pamięta, żeby trzeba go było kiedykolwiek naprawiać.

NIEKOŃCZĄCA SIĘ PROCESJA

Powrót do domu, do Podolsza, zajął im dwa tygodnie. Szli – pchając przed sobą załadowany pierzynami tragacz – w tłumie innych uciekinierów; oni też nieśli z sobą dobytek. Mieli wozy i wózki, taczki, furmanki – wszystko,

Tragacz, z arch. MNPE

Ucieczka ludności cywilnej podczas wojny obronnej 1939 r., NAC

co tylko jako tako jeździło i na co dało się załadować najcenniejsze rzeczy. Niektórzy ciągnęli nawet krowy i kozy. Dwunastoletnia Kazimiera nigdy wcześniej nie widziała takiego mrowia wędrujących ludzi. Wyglądało to jak wielka, ponura, niekończąca się procesja.

Szli głównie nocami. Za dnia zbyt często spadały bomby. Zostawały po nich ciała krów, leżące na poboczu, i ludzi też; zostawały drzewa, o wierzchołkach poświadczanych odłamkami tak, jakby ktoś machnął w powietrzu wielką brzytwą...

Niemców bali się wszyscy okropnie. Straszono nimi: że będą strzelać, męczyć, oczy wydłubywać. Ci, których spotykali po drodze, nie wyglądali tak strasznie. Rzucali nawet cukierki, ale dzieci z „procesji” wiedziały, że nie wolno ich brać. – Fotografują z aut – ostrzegano się nawzajem. – Chcą pokazać, jaka u nas bieda i jacy to oni dobrzy. Dzieci pamiętały o tym i miały swoją dumę; żadne się po cukierka nie schyliło.

Kupiony za pięć srebrnych złotych tragicz całą drogę spisywał się wyśmienie. Osiemdziesiąt kilometrów z Bochni do Podolsza zniósł bez szwanku. Dowiózł wszystkie pierzyny, ubrania, zapasy. Ocalił plecy i popuchnięte nogi taty. Kiedy już dotarli do domu, do Podolsza, nikomu nawet przez myśl nie przeszło, żeby się pozbyć takiego świetnego pojazdu.

MATKA BOSKA ZNALEZIONA W CHASZCZACH

W Podolszu szybko okazało się, że ci, co straszili Niemcami, wiele się nie pomylili. Wieś leży tylko dwadzieścia kilometrów od Oświęcimia, zachodni wiatr donosił dym z obozowych kominów. Przesiedlono tu ludzi, którym odebrano ziemię pod budowę obozu w Brzezince. Jeden z nich, niejaki Sikora, przywiózł z sobą prasy do krowich rogów, podnął chałupę i założył w niej fabryczkę grzebieni.

Wkrótce zaczęły się wywózki na roboty. Władka, najstarszego brata Kazimieri, tego który podczas ucieczki nosił na barana małego Franka, zabrano do Niemiec. Kazimiera skończyła czternaście lat i musiała szybko z Podolsza wyjeżdżać – jej także groziła wywózka do pracy. Przeczekała wojnę w Rajczy, u ciotki nauczycielki.

Nie było jej we wsi, kiedy Niemcy obalali figury. Nikt nie wiedział, czemu przeszkadzają im przydrożne kapliczki i krzyże. Uparli się je zniszczyć. Tam, gdzie był brzeg Skawy, biegła droga do Zatora i rosły cztery lipy, od niepamiętnych lat na wysokim postumencie stała figura Matki Boskiej. Musiała to być Matka Boska Niepokalanego Poczęcia, bo nie miała z sobą Dzieciątka. Rzeźba była z piaskowca, bardzo stara. Ludzie w maju zawsze chodzili jej śpiewać. Tę Matkę Boską Niemcy też obalili; obwiązali linami, zrzucili z postumentu, roztrzaskali, szczątki zostawili w chaszczach. Franuś, najmłodszy brat Kazimieri, buszował tam później. – Mamusiu, zobacz, co znalazłem! – przybiegł do domu zaaferowany. W dłoniach trzymał twarz Matki Boskiej. Choć figura roztrzaskała się, twarz została nieuszkodzona, bez najmniejszej rysy. Zsunęła się tylko z rozbitej głowy. Była piękna, spokojna i ciemna jak na częstochowskim obrazie.

Wiele, wiele lat później, kiedy Franek był już całkiem dorosłym elektrykiem w Zakładach Chemicznych w Oświęcimiu, przysnął podczas nocnego dyżuru. Przysnił mu się wielki pożar i ta Matka Boska. Poderwał się przerażony, że spóźni się na obchód, ale kolega powstrzymał go. – Czekaj, Franuś, papierosa skończę – powiedział. W czasie kiedy kolega palił, w hali, gdzie mieli robić obchód, wybuchł kocioł z karbidem. Poginęli ludzie. Franek wrócił do domu zapłakany. Był pewien, że Matka Boska, której twarz odnalazł w chaszczach nad Skawą, uratowała mu życie.

KOŃ CZERWONY JAK KREW

Kiedy skończyła się wojna, Kazimiera wróciła do Podolsza. Tęskno jej było.

Wieś bardzo się zmieniła. Nowa władza zabrała pola hrabiemu Potockiemu i po kawałku rozdawała je ludziom. Ludzie brali chętnie. – Pan hrabia nie wróci, przecie sam ziemi obrabiał nie będzie – tłumaczyli, ale mamusia Kazimieri i tak nie chciała nic dla siebie wziąć. Hrabia rzeczywiście już nigdy do Podolsza nie zawitał. W jego zamku w Zatorze, wśród pięknych malowideł, urządzono magazyn ze zbożem, a potem porodówkę.

Życie tymczasem toczyło się własnym torem. Przychodziły wiosny, lata, jesień i zima. Siał się i zbierało, mieliło mąkę w młynku na pyszny, czarny chleb. Tragacz, który uratował pierzyny i nogi tatusia, kwaterował w stodole i wciąż świetnie się spisywał. Rodzice Kazimierzy nie mieli konia, więc zwoził drewno i siano, pakowało się na niego trawę dla krówki... – Weteran – nazywali go czasami, bo przecież tak wiele z nimi przeszedł.

Życie toczyło się dalej; Sikora, przesiedleńca z Brzezinki, zamknął swoją fabryczkę grzebieni i przeniósł się do Wapienicy. W starym zamku hrabiego, przerobionym na porodówkę, Kazimiera, która po wojnie wyszła za mąż za Jana Balusia, urodziła córkę Terenię.

Jan Baluś był od Kazimierzy starszy o cztery lata. Miał gospodarstwo, kupił konia i wóz. Koń był przepiękny, silny, czerwony jak krew. Jan lubił go najbardziej w świecie.

Mama Kazimierzy postarzała się i tragacz przestał jej być potrzebny. Z czasem Jan i Kazimiera wzięli go do siebie. Stał sobie oparty o ścianę stodoły i tylko od czasu do czasu ktoś coś na nim przewiózł, bo od większych ładunków był przecież piękny czerwony koń i wóz. Czasem Kazimiera opowiadała dzieciom – a miała ich z Janem szóstkę: czterech chłopców i dwie dziewczynki – jak z mamą, tatą i braćmi uciekała przed wojną na wschód. Pokazywała wtedy jednokołowy wózek i śmiała się, że to pojazd sławetny, prawdziwy weteran.

Weteran stał więc na posterunku, a życie biegło dalej: pewne rzeczy zaczynały się, inne zmierzały do nieuchronnego końca. Dzieci Jana i Kazimierzy dorosły i rozjechały się po świecie. Oni sami postarzeliz się. A potem Jan zachorował, koń zachorował, krowę trzeba było sprzedać. Ostatnią kurę zagryzł pies sąsiadów. Któregoś dnia po Podolszu chodziła pani ze skansenu i zaglądała do starych domów. U Kazimierzy i Jana wypatrzyła słomianki do pieczenia

chleba, safarnię i prasę do krowich rogów, która została po przesiedleńcu Sikorze. Potem zajrzała do stodoły, gdzie o ścianę stał oparty weteran i zapytała: – A ten tragacz? Można by go wziąć?

Kazimiera pomyślała wówczas, że to byłby właściwie dobry koniec – oddać ten sławetny pojazd do skansenu. Zasłużył sobie: uratował pierzyny i popuchnięte nogi tatusia, przebył z nimi całą wojenną tułaczkę, a i później dzielnie służył w gospodarstwie. Pomyślała, że to niezły koniec i nawet zaśmiała się do weterana. – No, nienajgorzszy cię los spotka!

LOS WETERANA

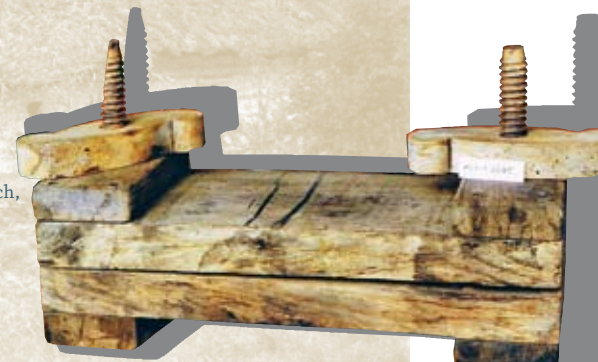
I tak do Nadwiślańskiego Parku Etnograficznego w Wygiełzowie na zasłużoną emeryturę trafił sławetny pojazd, tragacz, kupiony w Bochni za pięć srebrnych złotych przez mamę Kazimierzy. Zagroda, w której go wystawiono, należała kiedyś do bogatego gospodarza ze Staniątek. Można tu zobaczyć sieczkarnię i żarna, wialnię do zboża i centryfugę do odwirowywania śmietany. Są jarzma dla krów i kłusownicze paści na leśną zwierzynę, prasa do rogów z okupacyjnej fabryczki Sikory, zabawki dla gromadki dzieci i toaletka, przy której pan domu przycinał wąsy.

Z Podolsza do Wygiełzowa jest zaledwie osiem kilometrów, ale Kazimiera – choć wiele razy się wybierała – nigdy jeszcze tu nie była. Gdyby przyjechała, zobaczyłaby, że między tymi wszystkimi przedmiotami, na dziedzińcu, oparty o ścianę stajni, niepozorny i nieco przykurzony, stoi sobie jej tragacz. Ten sam, który podczas wojny uratował pierzyny i nogi tatusia, przebył z nimi osiemdziesiąt kilometrów tułaczki i dzielnie służył potem w gospodarstwie. Prawdziwy wojenny weteran na spokojnej emeryturze.

Za historię sławetnego pojazdu oraz przemiłą gościnę dziękuję pani Kazimierze Baluś z Podolsza.

Zagroda okołowa w Staniątkach,
z arch. MNPE

Prasa do rogów, z arch. MNPE



DWÓR MONIAKÓW

ZUBRZYCA GÓRNA, MUZEUM – ORAWSKI PARK ETNOGRAFICZNY W ZUBRZYCY GÓRNEJ

Architektura dworu Moniaków nawiązuje do ludowego budownictwa orawskiego. Warto zwrócić uwagę na: ściany o konstrukcji zrębowej, przedwysce, czyli galeryjkę-pięterko, która w typowej chałupie z wyżką* występuje na całej długości elewacji frontowej domu, tu natomiast jedynie w obu narożnikach, łukowe odrzwia oraz kurność budynku (w dachu zamiast kominów dymniki do odprowadzania dymu).

*wyżki to komory na piętrze budynku pełniące rolę pomieszczeń magazynowych

Biała izba (zw. świetnicą), a w niej m.in.: listwa trzyczęściowa, na której ustawiano obrazy malowane na szkle, talerze i gdzie wieszano kubki (siałki), intarsjowany stół z przedstawieniami scen o tematyce biblijnej oraz okienko do izby czarnej, w nim ustawiano kagank z olejem i oświetlano obie izby

Czarna izba, warto tu zwrócić uwagę na: piec, poczerniałe belki od sadzy i dymu, które czyszczono olejem lnianym, dzięki czemu zyskiwały charakterystyczny połysk, i wysoki pułap, który sprawiał, że dym mógł gromadzić się wyżej ponad głowami domowników i poprzez **woźnicę**, czyli otwór, wystawać na strych. Pod powałą przechowywano drewno na opał oraz wędzono wędliny.

Piec – jak w nim rozpalano? Najpierw rozniecano na nalepie (czyli kamiennym cokole) otwarte ognisko. Gdy płomień wygasł rozżarzone węgle wsuwało do pieca i zamykano go kamieniem. Posiłki gotowano na otwartym ogniu.

Komora, w której przechowywano zapasy żywności

Komora, w której przechowywano skrzynie z odzieniem

Sień

Czeluście, czyli otwory pieców ogrzewających sąsiednie pomieszczenia

Alkierz

Kancelaria sołtysa

Salon (zw. świetlicą) z eleganckimi meblami w stylu Biedermeier i Ludwik Filip. Sosręb z napisem informującym o fundatorze i dacie rozbudowy dworu

KALENDARIUM

1674 Sołtysi ród Moniaków otrzymuje tytuł szlachecki.

4. ćwierć XVII w. Według tradycji rodzinnej właścicieli to wtedy powstaje najstarsza zachowana do dziś część dworu – jego zachodnie skrzydło.

1784 Marcin Moniak rozbudowuje dwór, pamiątką tego jest napis na sosrębie we wschodnim skrzydle domostwa.

1831 Dwór zostaje odnowiony (a być może również przebudowany).

1937 Ostatni właściciele posiadłości dworskiej – Joanna Wilczkova i jej brat Sándor Lattyak (Aleksander Łaciak) – przekazują ją państwu polskiemu z przeznaczeniem na muzeum kultury orawskiej. Joanna ma sprawować opiekę nad dworem i nadal w nim mieszkać.

1951 Umiera Joanna Wilczkova. Dwór zostaje splądrowany, a jego wnętrza zamienione na owczarnię.

1953 Rozpoczyna się remont dworu.

1955 W Zubrzycy powstaje pierwszy w Polsce powojennej skansen. Na jego terenie zachowana zostaje w jej pierwotnej lokalizacji zagroda szlachecka Moniaków (dwór, owczarnia, chlew, stajnie, wozownia i piwnica).

Opracowanie: K. Pachla-Wojciechowska
Rzut: A. Buława-Orłowska na podst. materiałów z arch. M-OPE

SPÓD ZNAKU WILKA O ŻELAZNEJ OBROŻY, PAŃSKICH PSACH, WILCZEJ ZAJA- DŁOŚCI ORAZ DWORZE MONIAKÓW W ZUBRZYCY GÓRNEJ, KTÓRY NA POCZĄTKU BYŁ KURNĄ CHATĄ I O MAŁY WŁOS NIE SKOŃCZYŁ JAKO OW CZARNIA

To raczej nie była Bomba. Bomba była piękna, czarna, brązowooka. Goniła luzem po podwórzu i nie dawała się głaśkać obcym, ale to raczej nie ona nosiła grubą, żelazną obrożę z kolcami.

Imienia drugiej suczki nikt już nie pamięta. Obie były wielkie i piękne, jadły mleko i chleb, a Joanna bardzo je kochała. Nawet nie trzeba było specjalnie ich karmić – pod dwór Moniaków podchodziła puszcza, psy polowały w niej. Ale druga suczka chyba też nie nosiła żelaznej obroży.

Były jeszcze inne psy. Na przykład ten ze zdjęcia z 1937 roku: duży, z klapniętymi uszami, jasnym podgardlem i puszystym ogonem. Ogar, może wyżeł? – Pański pies – wspomina pan Julian, który przed wojną bywał we dworze.

Ale pański pies ze zdjęcia ma gołą szyję. On także nie nosi obroży.

A może grube, żelazne kolczatki nosiły brytany, które zapamiętała pani Małgorzata? To były wielkie, groźne psy – za dnia zamykano je, wypuszczano dopiero po zmroku. Ludzie bali się wtedy zbliżać do dworu. Psy pilnowały, czy do obejścia nie podchodzi zły człowiek albo wilk.

Obroża była właśnie na wilki. Grube, żelazne kolce sterczały na zewnątrz, chroniąc psie szyje przed kłami drapieżników. Dwór Moniaków leżał na rubieżach, otoczony beskidzką puszcza. Podobno kiedyś wilk wskoczył tu przez okno do sieni i zagryzł śpiącego na piecu psa. Od tego czasu przed okienkiem tkwił zaostrzony kołek, a psy dostały żelazne obroże z kolcami.

Kiedy dwór podupadł, a Joanna umarła, jedna z takich obroży została na podłodze, wśród innych starych gratów, pod warstwą owczych bobków – nic nie warty stary

rupieć, którego nikomu nie opłacało się wywieźć ani zrabować. Ostatnia pamiątka po zapomnianych dworskich psach.

ANDRZEJ ZAKŁADA ZUBRZYCĘ I LEKCEWAŻY SĄDY

Kiedy Moniakowie po raz pierwszy przybywają tam, gdzie po latach stanie ich dwór, na miejscu Zubrzycy rośnie puszcza. Jest dziko, skaliście, bezludnie. Okolica należy do wilków, nie ludzi.

Moniakowie zjawiają się tu na początku XVII wieku. Prawdopodobnie już wówczas mają z sobą psy. Są pastierzami, ktoś musi pilnować stad, które pasą się na polanie Czyrnec.

Nie wiadomo, jak nazywa się protoplasta rodu. Wiadomo tylko, że musi być twardym człowiekiem, odważnym do zjadłości. Warunki życia są ciężkie. Jeszcze w połowie XVII wieku niektórzy osadnicy nie wytrzymują i wynoszą się z tej okolicy. Ale nie Moniakowie. Moniakowie zostają. Ich gospodarstwo musi być wśród czterech, które w 1604 roku tworzą zręb Zubrzycy. To pewnie tam przychodzi na świat Andrzej.

Andrzej jest twardy, sprytny, przedsiębiorczy, bezwzględny i odważny jak wilk. To on rozpocznie drogę Moniaków na szczyt.

Sándor Lattyák i Joanna Wilczkova w dniu przekazania dworu, z arch. MT, fot. S. Meyer, B. Treter, 1937

Obroża dla psa, M-OPE, fot. K. Kobylarczyk



Zaczyna się od śmierci Ostrosza, sołtysa Zubrzycy. Andrzej żeni się z wdową po nim. Władze – Zubrzyca, wraz z całą Orawą, należy do austriackiego cesarza – uznają Andrzeja nowym sołtysem. Nie wiedzą, że jest jeszcze Mateusz, trzyletni synek Ostrosza, prawowity spadkobierca sołtystwa.

Andrzej zataja istnienie dziecka. Zbija fortunę. Zaczyna od dwustu owiec, stu korców zboża, pięciu wozów siana. Ledwie rok później – samego siana zbiera dziesięciokrotnie więcej. Syna, którego rodzi mu wdowa po Ostroszu, także nazywa Mateuszem.

Przez najbliższe czterdzieści lat Andrzej rządzi Zubrzcą. Wieś podlega parafii luterańskiej, ale Andrzej – katolik – nic sobie z tego nie robi. Ktoś składa władzom donos – sołtys Moniak założył we wsi nielegalny katolicki cmentarz.

Aż czterdzieści osiem lat Mateusz Ostrosz zbiera się na odwagę, by wystąpić przeciw ojczymowi. Wreszcie pozywa go przed sąd i wygrywa. Wyrok jest druzgocący. Moniak ma zwrócić pasierbowi majątek i stanowisko. Ale ponadsiedemdziesięcioletni starzec nie zamierza dawać za wygraną. Po prostu lekceważy wyrok. Wypędza pasierba ze wsi. Mateusz ponownie zwraca się do sądu. Znowu wygrywa. Władze grożą staremu Moniakowi oddaniem w ręce zamkowych drabów. Andrzej śmieje im się w twarz. Zubrzyca jest jego, nikt go tu nie ruszy.

I rzeczywiście. Krnąbrny starzec umrze jako sołtys w wieku osiemdziesięciu lat. Przy jego łóżku, okrytym skórą ubitych wilków, zbierze się cała rodzina. Będzie tam też Mateusz, syn Andrzeja. Jego godny spadkobierca.

MATEUSZ ZDOBYWA SZLACHECTWO I WILKA

Druga połowa XVII wieku to trudny czas dla Orawy, czas wojen religijnych. Magnat Emeryk Thököly wznieca powstanie. Chce Węgier protestanckich, niezależnych od Austrii. Na jego stronę przechodzą dwadzieścia cztery orawskie wsie. Szesnaście jest przeciw. Wśród tych szesnaśtu jest Zubrzyca.

W Zubrzycy sołtysem jest Mateusz, syn Andrzeja. Po ojcu odziedziczył stanowisko, majątek i spryt. Umie dobrze wybrać stronę konfliktu. Moniakowie skrzykują się z dwiema innymi rodzinami: Bukowińskimi i Wilczkami. Za 400 presburskich florenów wystawiają oddział 700 strzelców i oddają pod rozkazy cesarza.

To najlepsza inwestycja w ich życiu.

Siedmiuset strzelców stanowi ponad połowę cesarskich sił w regionie. Dzięki nim Austriacy odbijają Orawę. Sołtysi ze zbuntowanych wsi zostają wbici na pal. Na tych, którzy wytrwali w wierności, czeka nagroda.

O tę nagrodę Moniakowie, Bukowińscy i Wilczkowie upominają się sami. Ich prośba jest dość bezczelna. Chcą zostać szlachtą. Mają już nawet pomysł na herb, wymyślili go wspólnie: to wilk. Żadne inne zwierzę nie odda lepiej ich zjadłości, waleczności i odwagi. Zwierz kroczy na tylnych nogach, w prawej łapie trzyma miecz, w lewej – krzyż. Musi podobać się cesarzowi, bo władca przychyliła się do prośby. W 1674 roku Leopold I Habsburg, cesarz Niemiec, Węgier, Czech, Chorwacji, arcyksiążę Austrii, książę Burgundii, Brabancji, Styrii, Karyntii i Kamioli na pergaminowym dyplomie z czerwoną pieczęcią, potwierdza, że Mattheo Monyák za wierność i niepospolite zasługi wyniesiony zostaje do stanu szlacheckiego.

Świeżo upieczony szlachcic stawia nową chałupę z ociosanych bali. Przenosi się do niej ze swymi dziećmi, końmi, owcami. Zabiera też psy – bo przecież musi mieć jakieś psy, które pilnują jego coraz liczniejszych stad i domostwa na skraju puszczy. Ta kurna chata, z glinianą polepą zamiast podłóg, bez komina, stanie się początkiem szlacheckiej siedziby – dworu Moniaków.

Chorągiew Moniaków z 1705 r., kościół pw. św. Michała Archanioła w Zubrzycy Górnej, fot. U. Dyląg-Putowska

Herb Moniaków z aktu nobilitacyjnego, 1674, z arch. M-OPE



SÁNDOR OPIERA SIĘ NA LASECZCE I ODDAJE DWÓR

To dziwny dwór. Widać w nim, jak w lustrze, historię rodu. Składa się z dwóch części. Wybudowana przez Mateusza czarna izba nie ma komina i dym z otwartego paleniska snuje się pod sufitem, wędzi na czarno ściany i zawieszane na stryszkach kiełbasy. Zimą wprowadza się tu zwierzęta, by nie zamarzły w oborach. Czuć dymem, nawozem i gotowanym na piecu jedzeniem. To tu większość dnia spędza Joanna, ostatnia dziedziczka dworu Moniaków.

Joanna nie wygląda na damę, choć ma dworskie maniere. Chodzi w długich, szerokich sukniach z kokardami i chustce na głowie. Ma duże, spracowane dłonie i przgarbione plecy. Mówi po słowacku, węgiersku, zna polski i orawską gwarę. Ludzie nazywają ją Żanką. Joanna kocha psy. Ma dwie suki. Jedna nazywa się Bomba, jest czarna i ma brązowe oczy, imienia drugiej nikt nie pamięta. Joanna karmi je chlebem i mlekiem, pozwala biegać luzem po podwórzu i spać na piecu.

Druga część dworu jest bardziej reprezentacyjna. Wybudował ją Marcin Moniak w 1784 roku. Jest tu drewniana podłoga i tapicerowane meble. W skrzyni leżą stare rodowe dokumenty. Przy stoliku pija się kawę, toczy rozmowy i prowadzi życie kulturalne. Na ścianie wiszą myśliwskie strzelby i obrazy. Jest wśród nich św. Barbara od pobożnej śmierci, św. Wendelin, patron pasterzy, i św. Mikołaj od wilków, gryzoni i dobrej sławy.

Któregoś dnia św. Mikołaj najwyraźniej zagapia się, bo do dworu, w biały dzień, przez okno wskakuje wilk. Zagryza śpiącego psa. Odtąd przed oknem tkwić będzie zaostrzony palik, a psy dostaną żelazne obroże z kolcami na sztorc...

Psów wciąż jest u Moniaków pełno. Strzegą stad przed wilkami, pilnują gospodarstwa. Jeden z mężów Joanny (będzie miała ich dwóch) uwielbia polować. Ma dwie strzelby i wspaniałą myśliwską sforę. To piękne, pańskie psy. Dzięki nim we dworze, oprócz kapusty, gruli, moskoli, rzepy i bobu, je się także zajace i bażanty, a na stryszku w czarnej izbie wędzą się w dymie kiełbasy z dzika.

Joanna z Łaciaków Wilczkowa, z arch. M-OPE, k. XIX w.

Zdjęcie ślubne Joanny z Łaciaków i Józefa Cserépiego, z arch. M-OPE, fot. I. Goszleth, Budapeszt, 1896

To jeden z tych psów musi być na zdjęciu, które Bogdan Treter robi Joannie i jej bratu Sándorowi w 1937 roku. Okazja jest szczególna: rodzeństwo postanawia przekazać swój dwór państwu polskiemu. Chcą, żeby po ich śmierci powstało tu muzeum. Na zdjęciu Sándor poważny i wąsaty, z brzuchem pod dwurzędowym garniturem, opiera się na laseczce. Joanna – z włosami pod wiejską chusteczką – wygląda jak babuleńka. Przed nimi, na pierwszym planie, stoi pies: duży, z klapniętymi uszami i puszystym ogonem. Przypomina ogara. Szyję ma gołą i nie wygląda, jakby kiedykolwiek nosił żelazną obrozę z kolcami.

JOANNA WARZY ŻUREK NA ŻABACH I ODCHODZI

Zbliża się wojna i dla Moniaków znów nastają niebezpieczne czasy. Kilkanaście wsi na Spiszu i Orawie dostaje się pod słowacką okupację. Jest wśród nich Zubrzyca Górna.

Joanna żyje w Zubrzycy sama. Jest wdową, straciła dwóch mężów, syn Józieńko poległ w pierwszej wojnie światowej. Po drugim mężu nazywa się teraz Wilczkowa. Postarzała się. Pogorszył się jej wzrok. Nie rozstaje się z lornetką – patrzy przez nią, kto nadchodzi. Nocami spuszcza z uwięzi psy; biegają po podwórzu, odstraszały wilki i złych ludzi. Chłopi ze wsi boją się po zmroku zbliżyć do dworu.



Zdjęcie z albumu rodzinnego Moniaków, z arch. M-OPE

W gospodarstwie Joannie pomagają dwie wiejskie dziewczyny: Maria i Paulina. Śpią na stole w czarnej izbie, pasą krowy i młócą zboże. W Zubrzycy się nie przelewa. Któregoś dnia Marysia widzi, jak Joanna warzy żurek na żabich udkach. Każda jedna żabia noga rusza się na misce i dziewczyna za nic na świecie nie chce tego jeść. Za to, nocami, kiedy ściśnie je głód, Marysia i Paulina podpisują ukradkiem mleko. Dolewają potem wody, żeby Joanna nie zauważyła.

Zubrzycki dwór podupada. Joanna nie ma pieniędzy. Żyje z tego, co dostanie za sprzedaż drewna z rodowych lasów. Słowackie władze szykanują ją. Nie podoba im się, że nie przyjęła słowackiego obywatelstwa, nie mogą zapomnieć, że zapisała dworek państwu polskiemu.

Joanna trwa w Zubrzycy i ratuje, co może, ale może już coraz mniej.

Wkrótce zawałają się trzy budynki gospodarcze. Belki leżą i gniją. Można by palić nimi w piecach, ale Joanna uważa, że nie należą do niej. Zapisała je przecież Polsce...

Pod koniec wojny na dwór napadają uzbrojeni mężczyźni. Nie pomagają luzem puszczone psy. Ludzie, którzy wdzierają się do gospodarstwa są gorsi od wilków. Każą tytułować się partyzantami, ale to zwykli bandyci. Zabierają srebrne łyżki i złoty zegar, rozpruwają bagnetami pierzyny, rozrzucają zabytkowe dokumenty z kufra. Uprowadzają krowy i owce. Biją Joannę kolbami.

Napady powtarzają się.

Po którymś z nich Joannie zostanie tylko łóżko. Wielkie piękne łóżo z pierzynami. Przeleży w nim jedenaście miesięcy sparaliżowana. Marysia będzie karmić ją łyżką, opierać i myć. Pewnego dnia w czarnej izbie zbiorą się wiejskie kobiety. Przyjdą na pogaduchy, posiedzą do jedenastej w nocy. W sieni, tej samej, do której wpadł kiedyś wilk, zwidzi im się coś białego i uciekną przerażone.

Rano Marysia wejdzie do pokoju pani zabrać bieliznę do prania. Zdziwi się, że Joanna jeszcze śpi. Znajdzie ją martwą. Będzie 1951 rok.

Przez następne kilkanaście miesięcy nikt nie będzie wiedział, co dzieje się w Zubrzycy. Kiedy Juliuszowi Zborowskiemu, dyrektorowi Muzeum Tatrzańskiego, wreszcie

uda się zorganizować tam wyprawę, dwór zostanie zupełnie zrujnowany. Wszędzie czuć owczym łajnem – w opuszczonym budynku ktoś urządził owczarnię. Wcześniej rozkradziono wszystko, co wartościowe. Zostały tylko potłuczone skorupy, dziurawe garnki, żelazna psia obroża z kolcami przeciwko wilkom... I stare papierzyska.

Zborowski schyla się, otrzępuje owcze łajno z poślankiego papieru i wstrzymuje oddech. Na ziemi, pod grubą warstwą wyschłego owczego łajna leżą XVIII-wieczne dokumenty.

Dworek Moniaków udało się uratować. Podniesiony z ruin i odnowiony stał się zaczątkiem skansenu w Zubrzycy Górnej. Wciąż można tu zobaczyć zaostrzony kołek i żelazną obrożę z kolcami przeciw wilkom.

Nie wiadomo za to, co stało się z dworskimi psami. Czy po śmierci Joanny wzięli je do siebie ludzie ze wsi? Pozdychały? A może po prostu odeszły w las – ten las, który podchodził pod dwór; może zdziczały, wmieszały się w wilcze stado i odtąd polowały wraz z nim?

Jeśli tak było, gruba, żelazna obroża z kolcami, która została gdzieś wśród rupieci, nie była im dłużej potrzebna.

Dwór Moniaków, z arch. MT,
fot. S. Meyer, 1937

Album rodzinny Moniaków, M-OPE,
fot. K. Kobylarczyk



TARTAK I FOLUSZ

ZUBRZYCA GÓRNA, MUZEUM – ORAWSKI PARK ETNOGRAFICZNY W ZUBRZYCY GÓRNEJ

Folusz, folusznik, folować. Każda tkanina wełniana, wychodząc z warsztatu tkackiego, podobna jest do grubej tkaniny lnianej, bo ma nitki wątki i osnowy jeszcze odosobnione i wcale niepokryte kutnerem czyli powłoką pilśniową. Dopiero przez folowanie tkanina nabierając kutneru, zostaje prawdziwym sukniem. To folowanie odbywało się dawniej powszechnie przez bicie sukna w stępach stęporami z drzewa przy dolewaniu ługu, mydła, moczu i t. d. [...] Folusze poruszane były jak młyny, siłą wody bieżącej, a nie było okolicy w dawnej Polsce, gdzieby się nie znajdowały. Cały bowiem naród, z wyjątkiem możnych, ubierał się w samodziały, czyli sukna w domu tkane, dla których musiały być folusze.

Zygmunt Gloger, Encyklopedia staropolska ilustrowana



Kotlik jest uzupełniany wodą dzięki **rynience**, która doprowadza ją wprost z koryta.

Folusz w Zubrzycy Górnej, z arch. MIK,
fot. K. Pachla-Wojciechowska

KALENDARIUM

Pocz. XX w. W Zarębku Niżnim we wsi Łopuszna przy potoku Łopuszanka powstaje kompleks zabudowań produkcyjnych: młyn, tartak i folusz. Ich właścicielami są bracia Józef i Franciszek Maciaszowie. Z czasem wybudują również małą kuźnię, heblarnię, gonciarnię, olejarnię, wiertarkę mechaniczną, prasę ręczną do uzyskiwania moszczu i przecieru jabłkowego oraz wędzarnię serów.

Część z urządzeń napędza mechanicznie Łopuszanka, część zasilił prąd ze zbudowanej przez braci elektrowni wodnej.

Lata 50. Folowanie sukna przestaje być opłacalne, folusz zostaje zamknięty.

1964 Folusz wraz z tartakiem zostają zakupione od ich ostatniego właściciela, Stanisława Maciasza, i przeniesione do skansenu w Zubrzycy Górnej.

Folusz napędzany jest siłą płynącej wody. Na potoku buduje się jaz, czyli zaporę spiętrzającą wodę. Spływa ona przykopą, czyli korytem (którego końcowy odcinek jest zbudowany z desek), nad koło napędowe (nasiębierne) folusza. Woda spadając z koryta, wprawia koło w ruch.

Do koła zamocowany jest **wał**, czyli gruby pień jodłowy. Wraz z obrotami koła obraca się wał.

Zamocowane na nim **wypusty (kliny)** przy każdym obrocie wału podbijają **stęporę**. Te, wprawione w ruch, podnoszą się i opadają w **prowadnicach**, uderzając w **wydrążenie w stępie**. To tu umieszcza się folowaną tkaninę.

Tkanina „zbija się”, czyli spłisnia pod wpływem uderzeń oraz gorącej wody, która spływa **rynienką (rynicą)** z **kotlika (kotła)** umieszczonego na **kamiennym piecu**.

W trakcie folowania tkanina kurczy się o około 40% (we wszystkich kierunkach). Oznacza to, że z około 30 metrów rzadkiej tkaniny (tyle przerabiano w jednej partii) w czasie około 16–24 godzin uzyskuje się około 12–18 metrów sukna.

Opracowanie:
K. Pachla-Wojciechowska

HISTORIE Z ŻYCIA I SZYCIA O GENIALNYM KONSTRUKTORZE Z ZARĘBKĄ, PIERWSZEJ KOBIECIE, CO SZYŁA MĘSKIE PORTKI, STARYM FOLUSZU I BRĄZOWEJ GUNI, KTÓRA ZYSKAŁA NIEŚMIERTELNOŚĆ W SKANSENIE W ZUBRZYCY GÓRNEJ

Gałązka, która wiła się po kołnierzu starej guni, kończyła się kwiatami tulipana. Maria Młynarczyk z Lipnicy Wielkiej odtwarzała ją uważnie. Wyszywać musiała od razu, „na czysto” – na grubym brązowym suknie nie dało się niczym naszkicować wzoru. Nawet dziś, choć minęło ponad trzydzieści lat, Maria pamięta, jak siedziała nad robotą całe dnie, aż od ciemnego materiału bolały ją oczy, a od igły – palce.

W guni, którą szyła Maria, nikt nie miał nigdy chodzić. Zamówił ją skansen. W muzealnych zbiorach były stare, sfatygowane już gunie, Maria zaś była jedną z nielicznych osób, która potrafiła dobrze uszyć i tradycyjnie ozdobić nową. Jej stroje – wypełnione tancerzami zespołów folklorystycznych – wirowały po scenach wszystkich kontynentów. Gunie, cuchy i portki Marii jeździły do Gorzowa i Szczecina, latały do Ameryki, na konkursach rękodzieła zgarniały nagrody po siedem tysięcy złotych. Brązowa gunia, czyli gruba orawska kurta, w której nikt nigdy nie miał chodzić, a którą Maria aż do bólu oczu i palców haftowała dla muzeum, miała w jakiś sposób unieśmiertelnić je wszystkie.

OD NITKI DO SUKNA

Owce na wełnę strzygło się wiosną i jesienią, ręcznie, nożycami. Porozdzielane i wyczesane runo oddawano prządkom. Gotową nić nawijano na warsztat – musiał być

na tyle szeroki, żeby materiał, który z niego zejdzie, starczył na gunię lub portki dla najtęższego chłopca.

To, co schodziło z warsztatu, nie przypominało jeszcze grubego góralskiego sukna. Wyglądało raczej jak lniane płótno – cienkie, z widocznym splotem. Żeby tkanina nabrała kutneru, czyli gęstej powłoki skłębionych włókien, żeby zbiegła się i skurczyła, nabierając grubości i trwałości, i żeby można było uszyć z niej portki lub gunię, trzeba było przerobić ją w foluszu.

Folusze stawiano nad potokami. Woda napędzała koło, które wprawiało w ruch dwa ciężkie młoty, zwane stęporami. Młoty na przemian waliły w stępę, gdzie – w wydrążeniu – kładło się sukno. Tkaninę polewano przy tym gorącą wodą z mydłem, łojem, moczem lub specjalną gliną. Przez 16 do 24 godzin folusz pracował, bijąc zalewane wrzątkiem sukno. Materiał zbiegał się i kurczył, grubił i zyskiwał mechatą powłokę. Dobry folusz pozwalał przerobić w ciągu doby około 30 metrów tkaniny i uzyskać z niej 12–18 metrów sfilcowanego sukna. Ten, który nad potokiem Łopuszanka założyli bracia Maciaszowie, mieścił na raz w stępie 10 metrów materiału.

KOMBINAT BRACI MACIASZÓW

W 1909 roku Józef Maciasz, dwudziestojednoletni góral z Łopusznej, dostał powołanie do austriackiego wojska. Służył w Alpach. To właśnie tam napatrzył się na tamy do spiętrzania wody w górskich potokach, na młyńskie koła i drewniane przekładnie. Po dwóch latach wrócił do Łopusznej z głową nabitą pomysłami. Zaraził nimi brata, Franciszka. Wkrótce na brzegu potoku Łopuszanka w Zarębku Niżnim zaczął rosnąć prawdziwy wiejski koncern przemysłowy.



Najpierw powstały młyn, tartak i folusz. Kiedy zaczęły przynosić zyski, bracia inwestowali dalej. W niedługim czasie zbudowali gonciarnię i olejarnię, gdzie z siemienia lnianego wyłaczano olej do omaszczania potraw w poście. Nieopodal na ręcznej prasie pracownicy braci Maciaszów gnietli jabłka na przecier i wyciskali moszcz. Działała kuźnia i wędzarnia serów. Młóciło się zboże, młynkowało i rznąło sieczkę. Spiętrzona woda Łopuszanki napędzała zbudowaną przez Józefa turbinę, która przekazywała energię do generatora prądu elektrycznego. Dzięki elektryczności świeciły żarówki i pracowała wiertarka... Henryk Jost, który badał zabytki techniki ludowej na Podhalu, nie wahał się nazwać przedsiębiorstwa Maciaszów prawdziwym kombinatem.

W 1953 roku po okolicach Łopusznej spacerował Stanisław Pagaczewski, przyszły autor *Porwania Baltazara Gąbki*. W ciszy, przerywanej krakaniem wron, usłyszał głucho dudnienie i głośny szum wody. Zapach drzewnego dymu zaprowadził go do drewnianej szopy. Wewnątrz było ciemno, duszno i gorąco. Pisarz na moment stracił wzrok. Dym gryzł go w oczy i odbierał oddech, zgrzyt, stukot i chrzęst ogłuszały. Szopa cała się trzęsła. Nagle Pagaczewski poczuł, że ktoś ciągnie go za rękę w kąt. – Tu nie ma dymu – usłyszał. Tak poznał Kazimierza Maciasza, młodego spadkobiercę folusza.

W 1953 roku Józef Maciasz nie żył już od pięciu lat. Jego folusz wciąż jednak pracował. Henryk Jost, który także miał okazję widzieć go w działaniu, pisał, że miał niezwykle pomysłową pędnię w formie przekładni. Konstrukcja umożliwiała przeniesienie siły z koła wodnego, które napędzało folusz i sąsiedni tartak, do niedużego budynku gospodarczego. Tam wykorzystywano ją do młócenia zboża, młynkowania i rżnięcia sieczki.

Tymczasem w rozdygotanym od huku i pary foluszu Stanisław Pagaczewski obserwował młodego Maciasza: góral pilnował gotującej się w kotle wody, która wąską rynienką spływała tam, gdzie jodłowe stępy wściekle waliły w folowaną tkaninę. Od czasu do czasu chłopak wrzucał do wrzątku grudkę łoju. Pisarzowi wydawało się, że robi

to z wielką, obrzędową niemal powagą, niczym człowiek, który sieje zboże z płachty.

Dwa lata później Pagaczewski będzie próbował dowiedzieć się czegoś o losach folusza z Zarębka. Usłyszy, że jest już nieczynny. Folowanie przestało się opłacać. W 1958 roku powódź zniszczy koryto Łopuszanki, naniesie żwiru i piachu. Nikomu nie będzie się już chciało regulować potoku i naprawiać folusza. Będzie stał, martwy i cichy, aż ktoś zdecyduje, że warto by go przenieść do skansenu. Tego samego, który zamówił u Marii Młynarczyk brązową gunię...

PORTKI PORĄBANE NA PIENKU

Jesienią 1979 roku w pobliżu Lipnicy Wielkiej nie było już działającego folusza i po sukno na gunię dla skansenu Maria Młynarczyk musiała się wybrać aż do Cepelii w Nowym Targu. Choć guni nikt nigdy nie miał nosić, chciała, żeby materiał był mocny, porządny.

Skrojenie kurtki zajęło jej dwa dni. Miarę brała tak, jakby w guni miał chodzić wysoki, barczysty chłop. Zszywała grubymi, mocnymi nićmi, żeby boki nie rozeszły się, a po rękawach nie hulał wiatr. Na koniec wzięła się za haftowanie.

Szyć i wyszywać nauczyła się sama. Mama nie miała do tego drygu, co innego Maria – Maria haftowała od dziecka. Wystarczyło, że spojrzała na wzór. Zaraz potrafiła odtworzyć go na obrusach, serwetkach albo narzutach. Dom pełen był jej prac: na rogach ułożonych w stos pierzyn, poduch i jaśków kwitły drobne kwiatki, stoły pokrywały wzorzyste serwety i obrusy, po firanach pięły się haftowane powoje, ze ściennych makatek pan z panią mówili gościom „Dzień dobry”, talerz życzył „Smacznego”, a ptaszki na gałązce „ćwirkały od samego rana”.

Stroje regionalne zaczęła szyć po ślubie. Mąż prowadził zespół folklorystyczny. Dzieci, które w nim tańczyły, potrzebowały kostiumów. Zaczęła od guni – grubych kurt z ciemnego samodziałowego sukna, które orawscy mężczyźni narzucali na ramiona. Z początku nie brała się za portki – od zawsze na Orawie szyli i haftowali je wyłącz-

nie mężczyźni. Ale kiedy krawiec, który dotąd zaopatrywał zespół, krzyknął zbyt wysoką cenę, mąż przekonał ją, żeby chociaż spróbowała.

Wzięła stare spodnie, rozpruła, obejrzała.

Pierwsze portki zupełnie jej nie wyszły. Drugie były już lepsze. Potem poszło. Nauczyła się nawet szyć tak, jak robiono to dawniej: żeby spodnie były połączone tylko z boku, a nie w środku. Szybko rozeszła się fama, że portki od Marii są wygodniejsze od innych. Jeden pan, starszy, poważny człowiek, wyznał jej nawet, iż poprzednie spodnie tak go uwierały, że ze złości porąbał je na pieńku siekierą. Kiedy włożył te od Marii, odetchnął z ulgą:

– Nareszcie...

W ten sposób Maria została bodaj pierwszą kobietą na Orawie, która szyla męskie portki. W dodatku wygodne.

CZASEM ZERWIE SIĘ NIĆ

O uszycie brązowej guni, na wzór starej ze zbiorów muzeum, skansen poprosił Marię jesienią 1979 roku. Siedziała nad nią miesiąc. Wszystko uszyła ręcznie. Pracowała całymi dniami – wieczorem było zbyt ciemno, by wpatrywać się w bure sukno. Pożyczyła z muzeum starą gunię, przyglądała się jej i haftowała. Wyszywała ścięciem półpełnym i łańcuszkiem na bordowo, zielono, złoto, białe i turkusowo. Brązowe sukno z wolna pokrywało się główkami tulipanów, kwiatami o promienistych płatkach i kłosami. Wzdłuż zapięcia biegły łamane linie i ciąg kurzej stopki. Od wbijania igły w gruby materiał Marię bolały palce, od patrzenia w ciemne sukno męczyły się oczy. Ale wreszcie, w listopadzie, gunia była gotowa. Była brązowa, solidna i ciepła. Nikt nigdy nie miał jej ubrać, ale gdyby znalazł się ktoś taki, na pewno stwierdziłby, że jest wygodna.

Od tamtej jesieni 1979 roku Maria uszyła jeszcze z osiemdziesiąt guni. Wkładali je tancerze z zespołów regionalnych i zwykli ludzie, którzy chcieli paradnie pójść w Boże Narodzenie na Pasterkę. Gunie Marii latały do Ameryki i jeździły do Szczecina, a Maria starzała się wraz z nimi. Poświęciła im czas, oczy i dłonie. Doczekała się trzech córek, lecz żadna z nich nie szyje. Jedna wołała być pielęgniarką, druga kucharką, trzecia przez pięćdziesiąt lat życia nie poczuła powołania do krawiectwa.

Zresztą i Marii też już ciężko nawlec igłę. Skończyła siedemdziesiąt trzy lata, idzie jej siedemdziesiąty czwarty rok. Nie wie, czy jeszcze kiedyś uszyje gunię. To precyzyjna i trudna robota. Sukno jest ciężkie i ciemne, bolą od niego ręce i oczy. Żeby zrobić solidną gunię albo wygodne portki, trzeba napracować się i namęczyć.

A jakby tego było mało, czasem, w środku pracy, pechowo zerwie się nić.

Za opowieść o szyciu guni jestem niezmiernie wdzięczna pani Marii Młynarczyk.



WILLA OKSZA

ZAKOPANE, MUZEUM TATRZAŃSKIE

IM. DRA TYTUSA CHAŁUBIŃSKIEGO

W ZAKOPANEM

Styl zakopiański jest odpowiedzią na potrzebę stworzenia stylu narodowego w sztuce, która zrodziła się w czasie, gdy Polska znajdowała się pod zaborami. Inspiracją dla twórcy stylu – Stanisława Witkiewicza – była sztuka ludowa Podhala. Poszukiwał w niej „cech szczególnych, odrębnych, wyłącznie polskich”, które mógłby zastosować w projektach architektonicznych mogących sprostać potrzebom współczesności.

Któż z ludzi, żyjących w warunkach nowoczesnego budownictwa, w wygodzie, komforcie i zbytku, zgodziłby się dla idei przekraczać z trudem próg wysoki, zginać się w pół lub uderzać głową w ocap, przechodząc przez drzwi [...]? Nikt – i z zupełną słuszością.

Szło więc nie o zbudowanie jeszcze jednej pięknej i typowej chaty, szło o co innego: o zbudowanie domu, w którym by były rozstrzygnięte wszelkie wątpliwości co do możliwości pogodzenia ludowego budownictwa z wymaganiami bardziej złożonych i wyrafinowanych potrzeb wygody i piękna [...]

W dachu zakopiańskim oprócz dymników wprowadziliśmy wyglądy. [...] wygląd jako udogodnienie mieszkania jest nabytkiem nadzwyczajnym. Powiększa on je przez to, że w dniu pogodne i ciepłe staje się jeszcze jednym pokojem, pełnym powietrza, i w okolicy takiej, gdzie ciągle jest na co patrzeć, dającym możliwość patrzenia; służy jako wyborne miejsce werandowania dla chorych, jako miejsce odpoczynku dla słabych, jako miejsce do ustawiania roślin i kwiatów.



KALENDARIUM

1894–1895 Stanisław Witkiewicz projektuje dla Bronisławy i Wincentego Korwin-Kossakowskich willę w stylu zakopiańskim.

1895–1896 Góralscy cieśle wznoszą willę, która początkowo nosi nazwę Korwinówka.

Czerwiec 1896 Uroczyste otwarcie willi.

1899 Hrabia Marcin Nałęcz-Kęszycki kupuje willę, by ofiarować ją swojej żonie Helenie z okazji srebrnego wesela. Zmienia również nazwę domu na Oksza (w nawiązaniu do herbu rodzowego Heleny). Rok później Kęszycki umiera; Helena mieszkać będzie w Okszy do śmierci w 1907 r.

1920 Willę kupuje Towarzystwo „Odrodzenie” i przebudowuje, znacznie zmieniając wygląd domu.

1927–1932 W Okszy mieści się internat.

Druga wojna światowa W willi ma swoją siedzibę Szkoła Gospodarstwa Domowego.

1945–1965 Mieści się tu prewentorium dla dzieci i młodzieży.

Początek lat 60. Remont kapitalny willi, która później funkcjonować będzie jako dom wypoczynkowy.

2006 Budynek staje się własnością Muzeum Tatrzańskiego; zostaje wpisany do rejestru zabytków i rozpoczynają się prace przygotowujące go do remontu.

2011 Oksza zostaje otwarta dla zwiedzających, a w jej wnętrzach prezentowane są dwie wystawy: Zakopane – pępek świata oraz Sztuka pod Giewontem w latach 1880–1939.

Więc fundament. [...] I im wyższy jest, wskutek konfiguracji gruntu, fundament, im potężniej zarysowuje się forma szkarpu, tym budowla zakopiańska zyskuje więcej na charakterze mocy i powagi.

Poręcze od schodów, werand, balkonów [...], wszystko to są miejsca, na których rozsypują się motywy z przezroczy liźników, przeróżne gwiazdy, parzenice, krzyżyki, leluje, gadziki, krokiewki, mirwy lub zwijają się duże plastyczne gałęzie stylizowanych lelui. Tę ornamentykę ludową wzbogaciliśmy kilku motywami tatrzańskich roślin, jak złotogłów, karlina, paproć i kilku innych kwiatów [...].

Wszystkie cyt.: S. Witkiewicz, Styl zakopiański, z. 2, Lwów 1911

Korwinówka (później nazwana Okszą), z arch. MT, ok. 1896

Opracowanie:
K. Pachla-Wojciechowska

PAPIEREM I DREWNEM

O DWÓCH MAŁŻEŃSTWACH, JEDNYM DOMU, URZĘDNIKU Z SOSNOWCA, CO KORESPONDENCYJNIE BUDOWAŁ REZYDENCJĘ Z GÓRALAMI I WĄSATYM HRABIM, KTÓRY JĄ OD NIEGO ODKUPIŁ, CZYLI HISTORIA ZAKOPIAŃSKIEJ WILLI OKSZA, A ZWŁASZCZA PEWNEJ W NIEJ BELKI

Po właścicielach Okszy nie zostało nic – tylko parę słów wyrzniętych na belce. On (tęgi szlachcic o wypomadowanych wąsach) kazał wyrzezać je dla niej (kobiety dobrej, choć afektowanej). Miał już sześćdziesiąt pięć lat, był hrabią i nie wypadało mu wycinać serc na drzewach. Może dlatego postanowił sprawić sobie pod Tatrami dom, cały z drewna, i na belce stropu wyryć: „Roku Pańskiego 1899 dnia 7 lutego odbyło się srebrne wesele Marcina i Heleny Kęszyckich”? Poza tymi słowami nie zostało po nich w Zakopanem już nic.

Po właścicielach Korwinówki zostały listy i dom. On (urzędnik towarzystwa górniczego) zbudował go dla niej (bywalczyni Zakopanego). A ponieważ interesy kopalni Rudolf, Ignacy i Wiktor przywiązywały go do biurka w Sosnowcu, zrobił to korespondencyjnie. Poza tym domem i pękiem listów nie pozostawił po sobie w Zakopanem już nic.

Będzie to więc historia o dwóch małżeństwach, domu, belce, miłości i pieniądzu, a także – pośrednio – o pewnym artyście malarzu, który projektował wille, nadzorował budowlańców, targował się z podwykonawcami, załatwiał ubezpieczenia, starał się o kredyty i fotografował postępy. A wszystko to za darmo – czyli za nic.

BRONISŁAWA PRZEPRASZA ZA ŚMIAŁOŚĆ I ZAŁĄCZA PLANIK

Oksza z początku nie była Okszą. Najpierw była Korwinówką. Wymyśliła ją Bronisława.

Lato 1894 roku Bronisława Korwin-Kossakowska spędza samotnie w Zakopanem. Mąż Wincenty jest przykutym do biurka przez sprawy kopalni. Bronisława nie nudzi

się. W Zakopanem poznaje uprzejmego artystę malarza. Artysta nazywa się Stanisław Witkiewicz i propaguje wymyślony przez siebie styl w architekturze i zdobnictwie. Bronisława ogląda wille Pepita i Koliba i wpada na pomysł. Ona i Wincenty także chcieliby mieć dom pod Tatrami... Oczywiście musi to z mężem uzgodnić zaraz po powrocie do Sosnowca.

Małżonek daje się przekonać (być może ujmuje go, że ten cały Witkiewicz projektuje za darmo), bo już 20 września 1894 roku Bronisława przeprosza za natręctwo i pisze do Szanownego Pana Stanisława. „Posełam rozkład naszego w przyszłości domu” – informuje, załączając planik i notatki, skreślone naprędce przez Wincentego. Czy Sz. P. Stanisław mógłby przysłać szkic elewacji, by Wincenty, który nie zna stylu starogóralskiego dowiedział się, jak będzie wyglądał jego dom? I cena! Ile będzie kosztował metr kwadratowy? Wszystko powinno się zamknąć w granicach rozsądku, które mąż Wincenty określa na trzy–pięć tysięcy guldenów.

BRONISŁAWA PRZEPRASZA ZA ŚMIAŁOŚĆ, ŁĄCZY WYRAZY SZACUNKU I OCZEKUJE NA ODPOWIEŹ

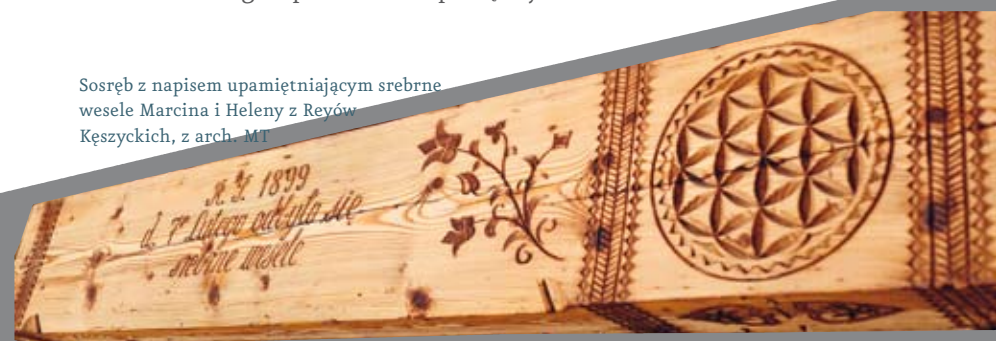
Sz. P. Stanisław odpowiada i przesyła, co trzeba, bo już wkrótce sam Wincenty odrywa się od spraw kopalni i chwyta za pióro.

Tak zaczyna się prawie dwuletnia korespondencyjna budowa willi.

Wincenty nie ma słów uznania i decyduje się.

Wincentemu brak słów na wyrażenie wdzięczności za tak ładny pomysł! Willa tak mu przypadła do gustu, że o żadnej innej słyszeć już nie chce. Konstrukcja przesłiczna! Tylko koszty... Dziesięć tysięcy florenów! To ogromnie przechodzi jego rachubę. Mimo to stanowczo się decyduje. Jako że obecnie nie posiada wielkiego funduszu, chciałby budowę podzielić na dwa lata. Tym sposobem bez zaciągania długów postawi dom porządnym.

Sosręb z napisem upamiętniającym srebrne wesele Marcina i Heleny z Reyów Kęszyckich, z arch. MT



Tylko czy budarze Wojciech Roj z Janem Obrochtą podołają...? Skoro Sz. P. Stanisław poleca tych majstrów i przedsiębiorców, Wincenty z zaufaniem odda im robotę.

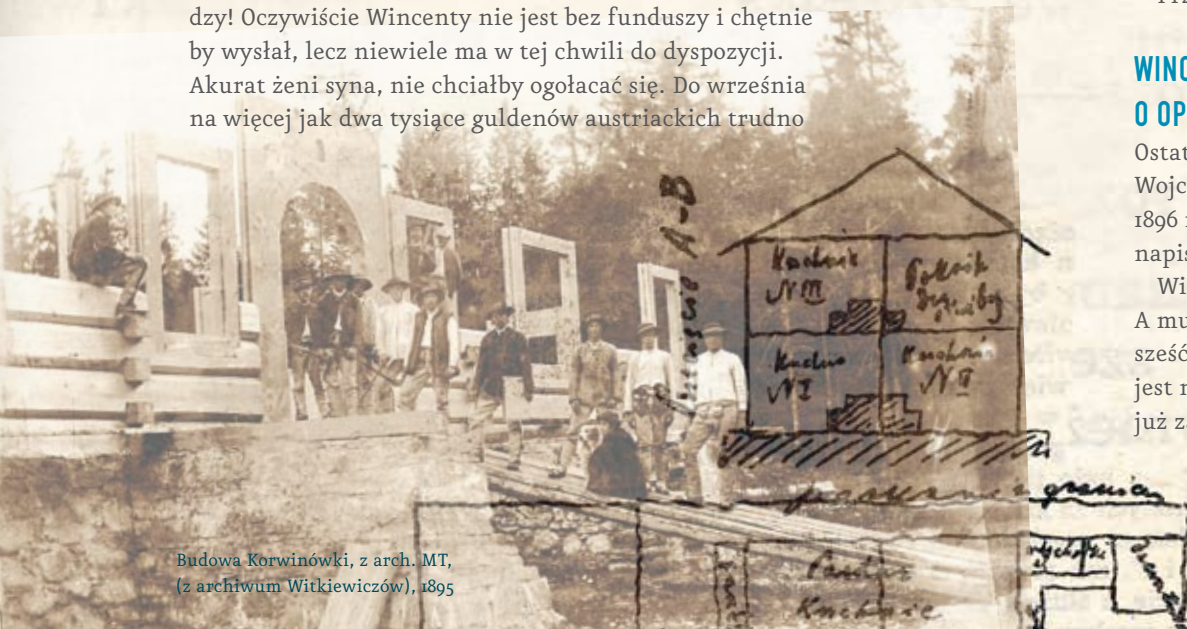
Zajęcia Wincentego przywiązują go do biurka w Sosnowcu. O wyjeździe do Zakopanego mowy być nie może. Proponuje, by to Roj i Obrochta przyjechali do niego. Niech wezmą paszporty w starostwie i ruszają! Na podróż – wylicza – nie zjeździe im więcej jak dwa dni. Drogę i koszt życia chętnie im zwróci (naturalnie trzecią klasą!). Nie wie natomiast – i zapytuje Sz. P. Stanisława – czy umówić się ustnie czy pisemnie, prywatnie czy rejentalnie? Łączy pozdrowienia i prosi o odpowiedź w ciągu tygodnia.

WINCENTY JEST NIESPOKOJNY O SWÓJ KAPITALIK

18 lutego Wincenty denerwuje się. Dawno nie miał wiadomości od Roja. Dziwi go to – wszak Wojciech pisać umie i ma syna piszącego. Tymczasem listów brak i Wincenty nie wie, czy drzewo zakupione... Budzi to jego głęboki niepokój: co tam Roj robi i jak użył wręzonego mu kapitaliku? Dlatego pozwala sobie molestować Sz. P. Stanisława: niechże napisze parę słów lub zniewoli Roja, by zdał wydatki z wręczonych mu tysięcy trzysta pięćdziesiąt guldenów! Serdecznie dziękuje i łączy wyrazy.

WINCENTY PRZEPRASZA ZA AMBARAS, LECZ NIE CHCE SIĘ OGAŁACAĆ

9 marca niepokój Wincentego wzrasta. Roj żąda pieniędzy! Oczywiście Wincenty nie jest bez funduszy i chętnie by wysłał, lecz niewiele ma w tej chwili do dyspozycji. Akurat żeni syna, nie chciałby ogołacać się. Do września na więcej jak dwa tysiące guldenów austriackich trudno



Budowa Korwinówki, z arch. MT, (z archiwum Witkiewiczów), 1895

mu będzie się zdobyć, a obecnie może posłać tylko pięćset. Gdyby dało się obejść mniejszą sumą, byłby kontent. Obowiązki znów nie pozwalają mu wybrać się w podróż, prosi więc, by Sz. P. Stanisław wyciągnął od Roja, jaką najmniejszą kwotę by się zadowolił.

Przeprasza za fatygę i ambaras, łączy wyrazy.

WINCENTY WIDZI TRUDNOŚCI I SZUKA OSZCZĘDNOŚCI

15 marca Wincenty widzi, że zachodzą trudności. Martwi się. Ale skoro budowa w stylu góralskim inaczej wyglądać nie może... Żałuje, że nie wiedział, iż wydatki nie dadzą podzielić się po połowie, bo by się na budowę w tym roku nie zdecydował. Cóż, przesyła Rojowi nie pięćset, a dwa tysiące guldenów. Ma jednak pomysł: jeżeli Wojciech dotąd płacił za materiały gotówką, niechże teraz bierze na kredyt! Może dałoby się też powały i podłogę położyć tylko tam, gdzie tego lata Wincenty zamierza spać z rodziną, resztę zaś domu zostawić, okna zabijając deskami?

Długów Wincenty zaciągać nie zamierza; żył tyle lat bez nich i wolałby willę sprzedać niż się zadłużyć. Prosi, by Wojciech wszystko skalkulował i nie robił tak, by dom przyniósł Wincentemu zgryzotę i przykrość.

Czy Sz. P. Stanisław mógłby przypilnować, by Roj ubezpieczył budowę? Myśli o kwocie czterech tysięcy florenów. Robotnicy lubią ogień rozniecić, tytoń i papierosy palić. Gdyby materiał spłonął, mozołnie zbierany dobytek Wincentego przepadłby...

Przesyła wyrazy i uścisk dłoni...

WINCENTY JEST ROZCZAROWANY I ŚMIE PROSIĆ O OPIEKĘ

Ostatnie widzenie z Rojem nie zadowoliło Wincentego. Wojciech, biedak, nie potrafił się wyśłowić, więc 16 lutego 1896 roku Wincenty odłożył sprawy kopalni na bok, by napisać do Sz. P. Stanisława z prośbą o kilka słów.

Wie Wincenty, że kominy nie są jeszcze wyciągnięte. A muszą być na 1 kwietnia, bo zdun od Barucha potrzebuje sześć do ośmiu tygodni na postawienie pieców. Wincenty jest nieco rozczarowany. Sądził, że Wojciech z robotą dalej już zaszedł. Śmie prosić Sz. P. S. o łaskawą opiekę nad bu-

„Odręczny planik” Korwinówki w liście Kossakowskiego do Witkiewicza z 16 lutego 1896, za: *Listy o stylu zakopiańskim. 1892–1912, wstęp, komentarze, opracowanie M. Jagiełło, Kraków 1979*

dową, monitowanie Roja, przypilnowanie rozmieszczenia pomieszczeń dla służby, usytuowania stajni i wozowni...

1 czerwca Wincenty przyjedzie, by willę urządzić wewnętrznie i wynająć. Szkoda, żeby dom drugi rok stał bez dochodu!

Oczekując odpowiedzi, łączy wyrazy...

WINCENTY ZŁOŚCI SIĘ I PROSI O KREDYT

11 kwietnia Wincenty znów jest niezadowolony. Czyż nie pisał, by Wojciech brał na kredyt? A widzi z rozliczeń (które załącza), że znów kupuje się za gotówkę! Czy Sz. P. Stanisław mógłby wpłynąć na Roja? Wincenty jest z funduszami nieco ściśnięty... Gdyby trzeba było pieniędzy, będzie musiał się zapożyczyć, czego wolałby uniknąć. Prosi więc o interwencję oraz – o ile to możliwe – o kredyt na materiały. Łączy wyrazy oraz napisany trzy dni wcześniej list do Roja...

WINCENTY RWIE WŁOSY Z GŁOWY, BO NIE MA KOPALNI

Niechże się Wojciech zlituje, skąd ma Wincenty wziąć tyle pieniędzy? Przez ostatnie siedem miesięcy posłał już do Zakopanego pięć tysięcy pięćset guldenów! Kopalni pieniędzy Wincenty nie ma (ma kopalnię węgla) i wszystkich wydatków gotówką pokryć nie może. Niech sobie Wojciech radzi, jak umie. Niech wynajmie parter – tylko porządnie mu lokatorowi! Powinien za to wziąć z tysiączek guldenów, bo wszystko porządnie umeblowane: łóżka żelazne z materacami i pościelą, meble wyściełane.

Oczekuje Wincenty odpowiedzi zaraz, przesyła pozdrowienia i uczula, by czasem Wojciech jego pieniędzmi nie zakładał wydatków przy innych budowach.

WINCENTY POSYŁA ZDUNÓW I OBIECUJE NIKOGO NIE SKRZYWDZIĆ

23 kwietnia uspokojony Wincenty dziękuje Sz. P. Stanisławowi za list. Prosi, by Sz. P. S. dopilnował zleceń co do pościeli, mebli i zdunów – to chyba niewielki kłopot...? Bardzo byłby też wdzięczny za fotografię chałupy.

Do Roja Wincenty pisze tego samego dnia. Prosi kochanego Wojciecha, by zakwaterował zdunów. Tylko, Boże broń, nie w jego domu, bo by go zabrudzili! Lepiej coś im wynająć...

Obiecuje też Wincenty, że co do wynagrodzenia za stajnię i kuchnię pogodzą się niechybnie. Krzywdy – obiecuje – Wojtkowi nie zrobi i do wójta na sprawę nie pójdą.

HRABIA MARCIN KAŻE RYĆ NA BELCE I WSIADA DO ZŁEGO POCIĄGU

W czerwcu 1896 roku Korwinówka jest gotowa. To już koniec korespondencyjnej budowy willi.

Wincenty nie będzie cieszył się długo tym domem. Już trzy lata później odsprzeda go. Czyżby przyniósł mu jednak zgryzotę i przykrość? Nie wiadomo. Na przełomie 1898 i 1899 roku Korwinówkę odkupuje od niego hrabia Marcin Kęszycki. Żona hrabiego – Helena z Reyów – jeździ do Zakopanego dla zdrowia, oboje są admiratorami stylu starogóralskiego. Zbliżyła się dwudziesta piąta rocznica ich ślubu i hrabia Marcin chciałby ją uczcić, a w tym wieku nie wypada mu już wycinać serc na drzewach. Kupuje więc dom, cały z drewna, zmienia mu nazwę z Korwinówki na Okszę i na najgrubszej belce stropu każe wyrycić: „Roku Pańskiego 1899 dnia 7 lutego odbyło się srebrne wesele Marcina i Heleny Kęszyckich”.

Oni także nie nacieszą się domem.

25 stycznia 1900 roku Marcin hr. Kęszycki wsiada do pociągu Zakopane – Kraków i pęka mu serce.

Helena przeżyje go o siedem lat. Przed śmiercią sprzedaje Okszę.

Zostanie po nich kilka słów, umieszczonych na belce w salonie, który korespondencyjnie zbudował zapracowany urzędnik sosnowieckiego towarzystwa górniczego. Ale tę historię już znacie...

Pełną treść korespondencji Wincentego można znaleźć w książce *Listy o stylu zakopiańskim. 1892–1912*, wstęp, komentarze, opracowanie M. Jagiełło, Kraków 1979.

CHAŁUPA GĄSIENICÓW SOBCZAKÓW ZAKOPANE, MUZEUM TATRZAŃSKIE IM. DRA TYTUSA CHAŁUBIŃSKIEGO W ZAKOPANEM

Przedewszystkim nadmienić wypada, że góral swój budynek mieszkalny zwie izbą, lub izbami, rzadko chałupą. Składa się ona w ogromnej większości z przy-padków z dwóch izb: czarnej i białej; pierwsza służy do mieszkania zimą i w tym celu jest odpowiednio opatrzona, nadto posiada komin do gotowania. W drugiej przebywa góral latem; nie ma pieca, zawsze jest czystsza, podczas gdy pierwsza od dymu wygląda ciemno; ztąd ich nazwy.

W. Matlakowski, Budownictwo ludowe na Podhalu

Dymy z pieca i z kuchni nie wypro-wadza komin ponad dach, lecz rurą ucieka on na poddasze [...] Ciekawe jest takie poddasze: ciekawsze, niż by się zdawało. [...] Po latach i lat dziesiątkach sadza nie ruszana, nie ścierana, osadza się nad wylotem pieca na krokwi i tworzy całe warstwy, sople, stalaktyty, podobne do sopli lodu, zwieszające się zimą od strzechy. Są one tak czarne, tak świetnie błyszczące, jak odłamy antracytu. Sadza i błyszczy i twardnieje, tak, że nie smoli palców, a cały dach przy blasku łuczywka pali się blaskami, połyskuje i mieni się od refleksów światła, tworząc oryginalny obraz jakiejś jaskini alabastrowej, ale czarnej.

W wielu chałupach na poddaszu buduje góral osobny składzik w kształcie ciasnej izdebki, wysokości niskiego wzrostu człowieka [...]. Wyżka stanowi skład na naj-cenniejsze zapasy gaźdy i gaździny, dlatego zbudowana jest z grubych bali i opatrzona szczelną powatą. Tu stoją „sąsiecki”, t. j. spiżarnie, a w przegrodach masło, parzenie (syry), pacześ i gotowe płótno, wymiędlone konopie; tu wiszą półcie słoniny, stoją naczynia z omastą i innymi zapasami kuchennymi.



Chałupa Gąsieniców Sobczaków w Zakopanem, z arch. MT, fot. Z. Gamski, 1967

KALENDARIUM

1830 Joachim Gąsienica Sobczak buduje chałupę.

Ok. 1877 Wnuk Joachima, Stanisław, dziedziczy część rodzinnego domu (dzisiejszą białą izbę) i przenosi ją na sąsiednią działkę.*

Ok. 1885 Stanisław dobudowuje do przeniesionej izby drugą, dzisiejszą czarną, a następnie komorę i ganek.

1975 Muzeum Tatrzańskie kupuje chałupę.

1976 Budynek zostaje wpisany do rejestru zabytków.

1978–1979 Chałupa zostaje wyremontowana, a w jej wnętrzach prezentowane są prace prawnuka Joachima – Stanisława Gąsienicy Sobczaka „Johyma” (uznanego rzeźbiarza i ceramika).

1981 Budynek zostaje zaadaptowany na mieszkanie służbowe.

2001–2008 W chałupie mieści się muzeum harcerstwa.

2008 Remont budynku: zrekonstruowane zostaje typowe wnętrze izby czarnej z k. XIX w., a w izbie białej prezentowane są najcenniejsze eksponaty z kolekcji Marii i Bronisława Dembowskich. W rogu izby staje piec – wzorowany na jednym z tych, które zaprojektował Witkiewicz do Chaty Dembowskich.

2009 Chałupa zostaje otwarta dla zwiedzających, a prezentowana w niej wystawa nosi tytuł: Styl Zakopiański – Inspiracje.

*Budynki w rękę górala nie są wcale nieruchomością [...]; dzieli on je, przewozi, podnosi, rozszerza, zmienia pobicie, dach cały, podczas gdy srać staroświecki, ze smolnych płaz przed wiekami wy-ciosany, pozostaje sam jeden bez zmiany wśród wędrowek z Poronina pod Gubałówkę, z Cichego na zbrocze Furmanowej itp.

Wszystkie cyt. za: W. Matlakowski, Budownictwo ludowe na Podhalu, Kraków 1892

Pionierska monografia podhalańskiego budownictwa autorstwa warszawskiego chirurga i badacza podhalańskiej sztuki ludowej – Władysława Matlakowskiego – została wydana w 1892 r. O jej znaczeniu pisał Witkiewicz: „Matlakowski miał tę uciechę, że natychmiast po wyjściu swojej książki mógł ją widzieć na belkach nowo budujących się domów, wśród wiórów i przesł, w rękę cieśli radzących się jej przy budowie”. Dla miłośników i kolekcjonerów sztuki ludowej równie ważna stała się jego kolejna książka: *Zdobienie i sprzęt ludu polskiego na Podhalu* wydana w 1901 r.

Opracowanie: K. Pachla-Wojciechowska

ZBIÓR WIESZCZKI MARY

O ŁYŻNIKU, KTÓRY ŚWIECIŁ W MROKU CHAŁUPY, ZBÓJ-
NICKICH NOŻACH, NAMASZCZANYCH MASŁEM, PARU
PISARZACH, KILKU MALARZACH, DWÓCH GÓRALACH ORAZ
INNYCH KURIOZACH Z ZAKOPIAŃSKIEJ KOLEKCJI MARII
I BRONISŁAWA DEMBOWSKICH

Wszystkiemu winien śnieg.

W pierwszej połowie XIX wieku ludzie przyjeżdżają w Tatry dla powietrza i gór. Zatrzymują się zwykle w Kuźniach, gdzie jest dwór i gospoda. Na wiejskie drewniane chałupy, zwane Zakopanem, nie zwracają zbyt wiele uwagi.

Troje turystów, którzy wybierają się w stronę Gubałówek, też pewnie wolałoby pójść w góry, ale zima 1886 roku jest śnieżna. Szlaki są zasypane. Zamiast na Gubałówkę, turyści docierają do przysiółka Furmanowa. Postanawiają zwiedzić góralskie chałupy.

W jednej z nich, w czarnej izbie, na ścianie obok drzwi widzą coś, co zmieni ich życie. Coś, co wygląda, jakby zrobione było po to, by nie zatracić się w mroku. Coś, co stanie się iskierką, z której rozpali się wielga watra, której promienie sięgną do najdalszych zakątków Polski.

Niewielką ozdobną półeczkę z drewna, rzeźbioną w rozety i tulipany. Łyżnik.

„Szczęśliwa ręka, która z mroku chałupy wyniosła na blask słońca i myśli pierwszy łyżnik” – podsumuje z emfazą Stanisław Witkiewicz, przyszły twórca stylu zakopiańskiego, jeden z trojga turystów.

Łyżnik – pierwszy eksponat w kolekcji Dembowskich, XIX w., z arch. MIK, fot. K. Pachla-Wojciechowska

TO ONI TAK PIĘKNIE TO ROBIA?

Szczęśliwa ręka jest dość pełnych kształtów. Aż po nadgarstek skrywa ją rękaw sukni – zawsze czarnej, odrobienie zaniedbanej. Porusza się powolnie, nieco sennie, jakby ze zmęczeniem. Należy do Marii, trzydziestoletniej żony prawnika Bronisława Dembowskiego.

Dembowscy od roku mieszkają na stałe w Zakopanem. Przeprowadzili się tu dla poratowania zdrowia, wyjazd w Tatry zalecił im lekarz. Małżonkowie wynajmują dom od Wojciecha Roja, przystojnego, barczystego górala o indiańskiej urodzie, urządzają przechadzki po górach i przyjmują gości. Z czasem Chata – jak ją nazywają – stanie się jednym z centrów życia kulturalnego w Zakopanem. Będzie tu bywał Henryk Sienkiewicz, brat Albert Chmielowski, Sabała. I, oczywiście, Stanisław Witkiewicz. W niezbyt przytulnym wnętrzu będą się toczyć dyskusje o polskim stylu narodowym w architekturze i zdobnictwie, odbywać wystawy i odczyty, publiczności zostaną pokazane obrazy Witkacego...

Ale na razie jest śnieżna zima 1886 roku. Przyszły twórca stylu zakopiańskiego jest po raz pierwszy w Tatrach i towarzyszy Dembowskiemu w zwiedzaniu góralskich chałup. Na ścianie widzą rzeźbiony łyżnik. Maria nie może oderwać od niego wzroku. Wie, że musi go mieć. Bronisław sięga po portfel i spełnia pragnienie żony. Już po chwili szczęśliwa dłoń w czarnym rękawie wynosi drewnianą półeczkę na światło dzienne.

Maria jest swoim łyżnikiem zupełnie oczarowana.

To dość ekscentryczny zachwyt. Moda na rodzimą sztukę ludową jeszcze nie nadeszła, tylko nieliczni doceniają walory góralskiego rękodzieła. Pierwsze kolekcje – jak ta, którą tworzy hrabina Róża Krasińska – dopiero powstają. Nawet stary Tytus Chałubiński, wielki miłośnik Tatr i Podhala, wydaje się zdumiony, gdy Maria przynosi mu łyżnik. Profesor jest chory, Dembowska często go odwiedza (odkąd zmarła jej serdeczna przyjaciółka, pierwsza żona Sienkiewicza, Maria zawsze opiekuje się jakimś chorym).



Odręcznie napisana przez Marię metryka najstarszego łyżnika w zbiorach Dembowskich, z arch. MT, fot. A. Samardak

Pokazuje mu swoją zdobycz. – Popatrzcie – dziwi się łyżnikowi Chałubiński. – To ja tyle lat tu przebywam i dotąd nie zauważyłem, że oni tak to pięknie robią...

Odtąd gromadzenie góralskiego rękodziela stanie się pasją Marii i Bronisława.

Bronisław przeszukuje podzakopiańskie wsie. Przyjaciele ironizują, że nie ma chaty, zwłaszcza walącej się ze starości, której Bronisław by nie odwiedził i czegoś z niej nie wyniósł. Znosi rzeźbione łyżniki, czerpaki, krzesła. Odkupuje od górali zdobione drzwi i odrzwia.

W Dzianiszu znajduje kolejny łyżnik, jaworowy, zwieńczony trzema krzyżami, ponadstuletni (będzie najstarszy w zbiorze).

Od Matejów, rodziny ostatniego zbójnika, odkupuje jeszcze jeden, „ze zbójceckich czasów”.

Z chałupy Jana Bafii w Chochołowie próbuje wydobyć najgrubszy i najstarszy sosrąg, jaki widziano na Podhalu. Nie zdąża. Właściciel rozwała chałupę, niszcząc stropową belkę.

Dembowscy dają się zupełnie oczarować góralszczyźnie. Bronisław chodzi w brązowej cusze, serdaku i sukiennych portkach z parzenicami. Maria własnoręcznie ceruje mu dziury na kolanach. Dembowski tworzy też inną, własną kolekcję. Zbiera słowa. Za kilka lat wyda pierwszy słownik gwary góralskiej i spisze bajki zakopiańskiego gawędziarza Sabały.

Dzięki fascynacji Marii i Bronisława w czarnej izbie Chaty Roja rośnie zbiór, który stanie się największą podhalańską kolekcją etnograficzną.

WYTAPETOWANA NA CZARNO

Chata to miejsce szczególne. Stoi z dala od drogi, w zagajniku zwanym Lasem, nieopodal willi Chałubińskiego



i Baranowskiego. Wewnątrz jest ponuro, mrocznie, ascetycznie. Nieustannie szumiący strumień potęguje nastrój tajemnicy.

Ale najbardziej fascynująca i tajemnicza jest Maria Dembowska, gospodyni Chaty.

Nazywają ją Marą Czarną – nosi tylko ciemne suknie, zapięte pod samą szyję. Ma smutny uśmiech i niski, altowy głos. Mówi mało, cicho, lecz z drażniącą emfazą. Mężczyźni zapamiętają, że jest średniego wzrostu brunetką o dość pełnych kształtach i regularnych rysach twarzy, że czesze się gładko i ma ogromne, melancholijne, czarne oczy. Kobiety dostrzegą staroświeckie uczesanie i lekkie zaniedbanie stroju.

Niektórzy twierdzą, że jest sztuczna i zmanierowana. „Miałam, może najniesprawiedliwiej, uczucie pewnej sztuczności i pozy. Wszystko w niej obmyślane i chciane dla wywołania nastroju” – zapisze Maria z Rodakowskich Woźniakowska. „Ubierała się nieodmiennie na czarno i podobnie musiała być wytapetowana od środka, bo ton głosu i wymowę też miała pogrzebową” – zanotuje złośliwie Michał Pawlikowski, syn właścicieli zakopiańskiej willi Pod Jedłami.

Ktoś przypomni sobie, że jako panienka leczyła się na nerwy w Zakładzie Wodoleczniczym dra Czerwińskiego.

Ale najwięcej plotek wzbudza „niejasna relacja” Mary ze Stanisławem Witkiewiczem.

Witkiewicz jest w Chacie codziennie (od 1890 roku mieszka na stałe w Zakopanem). Ma tu swój ulubiony



Chata Marii i Bronisława Dembowskich, z arch. MT, fot. J. Nowobilski, 1941

Bronisław i Maria Dembowski, z arch. MT

taboret. Pije herbatkę o piątej, szkicuje nowe zdobycze Dembowskich, zachwyca się góralską ornamentyką. Zbiór Mary i Bronisława staje się dla niego inspiracją do tworzenia podstaw stylu zakopiańskiego.

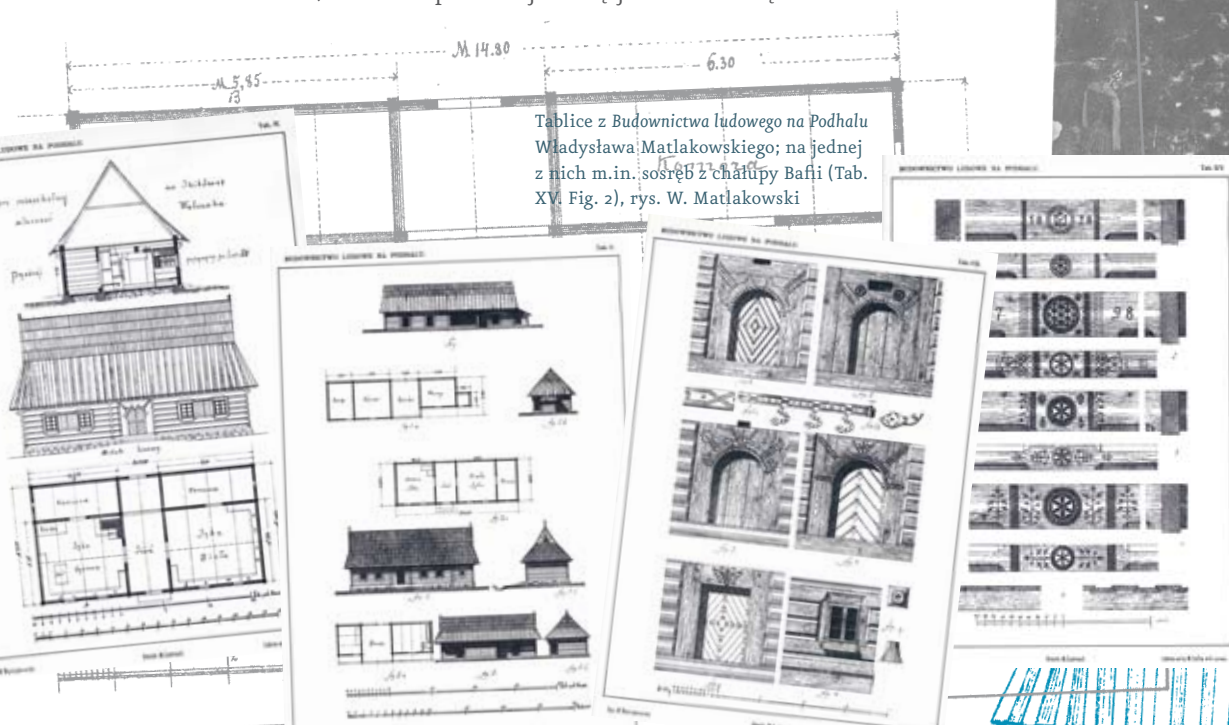
Złe języki mówią tymczasem o „dramacie trzech serc”. Rozdarte serca mają przy tym należeć do Dembowskiego, Witkiewicza i jego żony. Matlakowski, który nie lubi Mary, zarzuca jej, że nie kocha męża i gardzi nim, jako człowiekiem zbyt poziomym, by mógł ją zrozumieć.

Nawet ci, którzy twierdzą, że między Stanisławem a Marą nic nie ma, są zdania, że to nic jest na tyle silne, iż niszczy małżeństwo Witkiewicza.

NIKT NIKOGO NIE ZJADA

Niezależnie od plotek Chata Roja i Dembowskich staje się najznakomitszym salonem Zakopanego.

Bywa tu Władysław Matlakowski, lekarz z Warszawy, jeden z inspiratorów stylu zakopiańskiego, Kazimierz Dłuski, założyciel pierwszego sanatorium pod Tatrami i jego żona Bronisława, siostra Marii Skłodowskiej-Curie. Czasem wpada nawet sam hrabia Zamoyski, niezbyt towarzyski właściciel dóbr zakopiańskich. W drzwiach mija się z Mieczysławem Limanowskim, geologiem-socjalistą, przemysłowcami Lilpopami i satanizującym literatem Micińskim (Miciński sportretuje Marę jako wieszczkę



Tablice z Budownictwa ludowego na Podhalu Władysława Matlakowskiego; na jednej z nich m.in. sosręb z chaty Bafii (Tab. XV. Fig. 2), rys. W. Matlakowski

w powieści *Nietota*). Żydowski pisarz Szalom Asz cudnie przekręca tu polskie słowa. Teśc Mehoffera, pan Janakowski, ostatni żyjący Sarmata, paraduje ze szpilką do krawata w kształcie przyłbicy. Brat Albert Chmielowski wiesza płaszcz z dala od innych – nie chce nikogo zarażać wszami. Henryk Sienkiewicz przyjeżdża do Chaty na wczasy, żyć życiem świstaczem: jeść, pić i mało myśleć. Często grogiem Sabałę.

Sabała nazywa Chatę Afaparkiem.

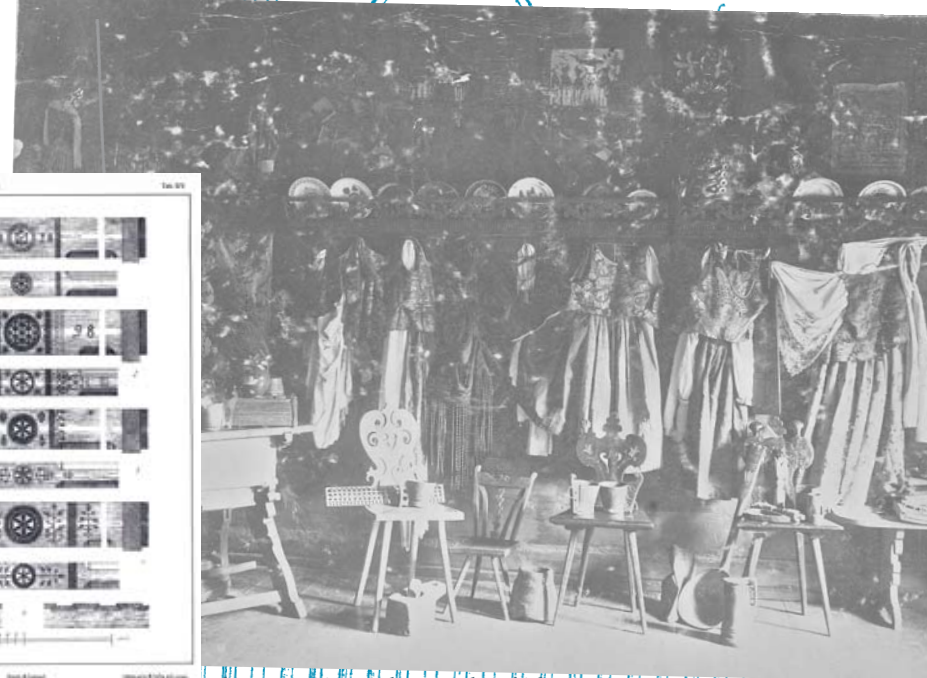
– To takie miejsce w Hameryce, gdzie najróżniejsze zwierzęta żyją w zgodzie i żadne drugiego nie zjada – tłumaczy, myśląc o Affenparku, małym gaju, czyli ogrodzie zoologicznym.

I rzeczywiście, w Chacie cały ten zwierzyniec jakoś się z sobą dogaduje i nikt nikogo nie zjada.

Tymczasem w izbie po drugiej stronie sieni pęcznieją zbiory Mary.

Nieprzychylni uważają, że od nagromadzenia „szczerńniętych od dymu i starości gratów, niegdyś przedmiotów codziennego użytku dawno już nieżyjących ludzi” zalatuje tam stęchlizną. „Całość sprawiała wrażenie prastłowiańskiego cmentarzyska i martwoty” – napisze później Władysław Kiejstut, syn Matlakowskiego, wówczas młody chłopak.

Dom mieszkalny



Zbiory Marii i Bronisławy Dembowskich zgromadzone w Chacie, MEK, 1915

Dembowscy nic sobie z tego nie robią. Są niestrudzeni.

W Ratułowie odkupują od niejakiego Rejniaka stołek jaworowy, wykładany cisem, zrobiony przez górala Samończka.

Od Machalskiej z Chochołowa wydobywają bardzo piękną spódnicę ze starej niebieskiej materii jedwabnej.

Od Jacego z Hrubego biorą staroświecką koszulę kobiecą z domowego płótna, wyszywaną czarnym jedwabiem...

Od Wojciecha Kułacha, „Wawrzyńcoka”, rzeźbiarza-samouka, o którym mówi się, że poszedł piechotą do Rzymu i teraz rzeźbi barokiem, kupują zydeł, szuflę do przesiewania zboża i kolejny łyżnik (Mara zgromadzi ich w sumie trzydzieści dwa).

Od Sabały kupują zrobione przez niego karple, czyli rakiety śnieżne i złóbcoki. Po śmierci bazarza do kolekcji trafia też połatana, wytarta, nadpalona cucha, w której chodził.

Każdemu zdobytemu przedmiotowi Mara własnoręcznie wypisuje metrykę.

W izbie, na stole, leżą zbójnickie noże. Sabała, póki żyje, raz w miesiącu przychodzi specjalnie, żeby je wyczyścić. Zużywa na to mnóstwo masła. Potem kładzie noże z powrotem na stole i z religijnym namaszczeniem błogosławi je znakiem krzyża.

TEN, KTÓRY NAJMOCNIEJ ŚWIECI

W 1893 roku umiera Bronisław Dembowski. Kona w boleściach, zarażony promieniłą. Przy jego łóżku czuwa najlepszy przyjaciel – Stanisław Witkiewicz.



Mara załamuje się.

Po śmierci Bronisława „niejasna relacja” wybucha ze zdwojoną siłą. Mara wyjeżdża na miesiąc do Krakowa. Witkiewicz pisze o niej do Jadwigi Janczewskiej: „Ja przez nią żyję. Ja siebie, moją duszę, moją myśl, uczucie, szczęście, siły i rozpacz – wszystko jej oddałem”. Nawet Matlakowski, który nie lubi Mary, przyznaje, że codzienne obcowanie z nią stało się dla Witkiewicza potrzebą życia.

Mara wraca, ale jej relacja ze Stanisławem na zawsze pozostanie niejasna.

Kiedy w 1908 roku zdrowie Witkiewicza pogorszy się, wyjedzie z nim nad Adriatyk. Czterysta zebranych eksponatów zostawi w Chacie pod opieką Roja. Co jakiś czas góral upomina się o czynsz. Witkiewicz odpisuje mu doskonałą gwarą, że chwilowo ma kłopoty finansowe, ale bardzo prosi troszczyć się o zbiory. Umrze w 1915 roku.

Mara przeżyje go o dziesięć lat. Przywiezie jego ciało do Polski. Zgodnie z wolą Bronisława cały zbiór góralskiego rękodzieła zapisze Muzeum Tatrzańskiemu. Nie przyjmie za niego ani grosza.

Chata dotrwa do czasów wojny. Podczas okupacji została zniszczona. Kolekcja, która rozpoczęła się pewnego zimowego dnia 1886 roku od łyżnika, który zapłonął w mroku góralskiej chaty, trafi z czasem do Chałupy Sobczaków.

Słynny łyżnik jest tam również. Wiśi na ścianie naprzeciw wejścia z sieni pośród innych drewnianych półeczek, rzeźbionych w rozety, kwiaty i krzyże.

To ten, który najmocniej świeci.

Dom mieszkalny
własność

na skibonice
Walczaka

połączony po linii AB



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI Z ŁOSOSINY DOLNEJ NOWY SĄCZ, MUZEUM OKRĘGOWE W NOWYM SĄCZU

Konfesjonały (k. XVIII w.) z malowidłami o tematyce spowiedzi. Przedstawiają one św. Jana Nepomucena patrona szczerej spowiedzi, który według tradycji miał ponieść męczeńską śmierć, ponieważ odmówił ujawnienia tajemnicy spowiedzi, pokutując Marię Magdalenę i św. Pelagię oraz Anioła Stróża odprowadzającego penitenta po spowiedzi.

Rokokowa polichromia chóru muzycznego (2. poł. XVIII w.)

Wieża z baniastym hełmem z latarnią, zwieńczona mackowniczką i kutym krzyżem

Organy muzyczne z trakturą mechaniczną zaprojektowane przez znanego organmistrza Tomasza Falla ze Szczyrzycy (pocz. XX w.)

Ółtarz boczny (XIX w.) z płaskorzeźbą przedstawiającą Marię z Dzieciątkiem adorowanych przez św. Dominika i Katarzynę Sieneńską

Ółtarz boczny (XIX w.) z obrazem głównym ukazującym męczeństwo św. Sebastiana (XVIII w.)

Dębowa ława kolatorska (k. XIX w.), w której zasiadali niegdyś kolatorzy, czyli dobroczyńcy kościoła. Najczęściej byli nimi właściciele majątków ziemskich związanych z parafią.

Nawa

Soboty

Ółtarz boczny (2. poł. XVIII w.), w którym pierwotnie znajdował się gotycki obraz Matki Bożej Pocieszenia (obecnie przechowywany w nowym kościele w Łososinie Dolnej). Na jego miejscu umieszczono obraz Immaculata.

Ambona (rekonstrukcja)

Prezbiterium

Barokowy ółtarz główny (2. poł. XVIII w.), w centrum Krucyfiks, a po bokach obrazy przedstawiające sceny związane z patronami świątyni: wręczenie kluczy św. Piotrowi i Chrystus ukazujący się św. Pawłowi.

Ółtarz boczny (2. poł. XVIII w.) z obrazem głównym przedstawiającym św. Józefa

Chrzcielnica

KALENDARIUM

1739–1740 Dzięki inicjatywie ks. Piotra Przedborskiego w Łososinie Dolnej zostaje wybudowany nowy, drewniany kościół (starszy był bardzo zniszczony, o czym informował wizytator już w 1728 r.).

10 VIII 1740 Nowa świątynia pw. św. św. Piotra i Pawła zostaje konsekrowana przez bp. Michała Kunickiego.

1903/1904 W kościele zostaje przeprowadzony remont.

1983 Ks. Władysław Piątek, proboszcz parafii w Łososinie Dolnej rozpoczyna starania o pozwolenie na budowę murowanego kościoła. Nowa świątynia zostanie ukończona w 1987 r. i przejmie funkcje liturgiczne, stary drewniany kościół stopniowo przestanie służyć wiernym.

X 2003 Drewniany kościół zostaje rozebrany, a materiał przewieziony do skansenu w Nowym Sączu.

XI 2003–I 2004 Rekonstrukcja kościoła w skansenie.

17 IX 2004 Kościół zostaje uroczystie konsekrowany.

XI–XII 2005 Prace konserwatorskie, m.in. przy polichromii chóru muzycznego

XII 2006 Na deskach stropu zostają zamontowane malowidła figuralne według proj. Marii Ritter.

XI 2008 W prezbiterium i nawie głównej zrekonstruowana zostaje dekoracja patronalna.

SIEDEMNAŚCIE TYSIĘCY DUSZ

O MROZIE, OD KTÓREGO W KIELICHU ZAMARZŁO WINO,
WRONACH, CO ROZPRASZAŁY WIERNYCH, WIELKIM
TŁOKU, CHRZTACH I ŚLUBACH ORAZ PEWNYM POGRZEBIE,
A TAKŻE O INNYCH DROBIAZGACH, KTÓRE ZAGUBIŁY SIĘ
PODCZAS PRZENOSIN KOŚCIOŁKA Z ŁOSOSINY DOLNEJ DO
SKANSENU W NOWYM SĄCZU

Rozbiórka przypominała grę w bierki. Dwudziestu robotników rozmontowało drewniane soboty, zdjęło dach, rozłożyło ściany. Ksiądz Władysław Piątek z ciekawością przyglądał się ich pracy.

Ksiądz Piątek był w Łososinie Dolnej proboszczem przez dwadzieścia jeden lat. Wybudował nowy, murowany kościół, który miał zastąpić stary, drewniany. Trudy budowy zmęczyły go. Przeżył zawał. Na emeryturze postanowił „pilnować konfesjonału, odwiedzać chorych i spisać to, co powinno być zapisane”. W kazaniu, które wygłosił na pożegnanie starego kościołka, przenosiny do skansenu w Nowym Sączu porównał do operacji serca – takiej samej jak ta, która uratowała mu życie. Być może także dlatego z taką uwagą śledził prace rozbiórkowe.

Robotnicy rozbierali XVII-wieczny kościółek metodycznie. Najpierw zdemontowali wewnątrz: wynieśli ławę koltorską, malowane konfesjonały, organy słynnego Tomasza Falla i ołtarze. Potem wzięli się za dach, ściany i posadzkę. Na strychu znaleźli stary świder do wiercenia w drewnie, a w podziemiach kawałek ludzkiej czaszki.

Wreszcie zabrali zdrowe deski i przenieśli je do skansenu.

Barokowy kościółek pw. świętych Piotra i Pawła stanął tam cały i zdrowy, niczym pacjent po skomplikowanej operacji. Tylko ktoś, kto przez całe życie należał do parafii w Łososinie Dolnej, mógł się zorientować, że czegoś w nim brak. Chodziło o wnętrze. W drewnianych nawach brakowało tego, czego nie można było rozebrać i przenieść.

Janina Pawłowska, emerytowana dyrektor szkoły w Łososinie Dolnej, która w małej świątyni przystąpiła do chrztu i komunii, wzięła ślub i ochrzciła dzieci, ujęłaby to tak: – To my byliśmy wewnątrz tego kościółka.

OPUS MAGNUM KSIĘDZA PIĄTKA

Na emeryturze ksiądz Piątek zaszył się w archiwach. Przeszukiwał stare dokumenty, spisy i kościelne rejestry. Odnalazł XIX-wieczną kronikę parafii ze spisem proboszczów i pamiętnych wydarzeń (1831 – epidemia cholery, 1836 – wizyta biskupa, 1837 – powódź...).

Jego opus magnum to dwie książki z dziejami drewnianego kościołka, losami jego kapłanów, historią okolicznych sadów, szkoły, sklepów, gabinetów dentystycznych, lotniska i klubu sportowego Łosoś, a nawet prehistorią i geologią doliny rzeki Łososianki.

Jest to dzieło o trudnym do przecenienia znaczeniu.

Dzięki księdzu Piątkowi wiemy, ilu proboszczów miał stary kościółek (czternastu) i jakie odmiany jabłoni przetrwały zimą 1928 roku (koksa, boskop, cesarz, wilhelm, reneta). Wiemy, że w 1995 roku w parafii było piętnaście małżeństw bezdzietnych i piętnaścioro bliźniaków oraz że w pewnym domu mieszkało sześciu kawalerów. Wiemy też, że drewniany kościół pw. świętych Piotra i Pawła wznosił w Łososinie Dolnej ksiądz Piotr Przedborski. I że miejsce, gdzie budował, nazywało się wówczas Jakubkowicami.

W Jakubkowicach stał wcześniej inny kościół. Prawdopodobnie zbudowano go około 1325 roku. Pod koniec XVI wieku był już mocno zniszczony, bo lokalna szlachta przeszła na arianizm i wypędziła proboszcza. Msze odprawiali wędrowni księża, żyjący na bakier z władzami kościelnymi. W 1596 roku wizytator zastał w kościele brudne ściany, złamane okno, niedomyty kielich i pokrzywioną patenę. Wino skwaśniało, a hostia Najświętszego Sakramentu leżała tak długo, że wizytator zdecydował się natychmiast ją spożyć.

Kiedy w 1736 roku parafię objął proboszcz Przedborski, budynek nadawał się właściwie tylko do zburzenia. Ksiądz postawił więc nowy. Budowa trwała dwa lata. W 1740 roku

kościół został poświęcony. To właśnie jego rozbiórkę dwieście sześćdziesiąt trzy lata później będzie śledził ksiądz Piątek.

Ksiądz Piątek, jak przystało na skrupulatnego kronikarza, obliczył, ile dusz przeszło przez tę świątynię w ciągu ćwierćwiecza. Wyszło mu siedemnaście tysięcy.

Siedemnaście tysięcy ochrzczonych dzieci i siedemnaście tysięcy pogrzebów.

ZAGUBIONE W TRANSPORCIE: TŁOK, MRÓZ, MUZYKA

Gdybyśmy zapragnęli odszukać to, czego nie udało się przetransportować do skansenu, przede wszystkim musielibyśmy wyobrazić sobie tłum. Ogromny tłum. Tłum tak wielki, że kiedy ksiądz (na przykład ksiądz Piątek) odprawia mszę, ludzie muszą klękać w tym samym momencie, żeby na siebie nie wpadać. Parafia liczy 2500 wiernych. Część z nich w niedzielę nie mieści się w świątyni i staje na zewnątrz, pod stu pięćdziesięcioletnimi lipami, co nie podoba się księdzu Piątkowi, bo uważa, że rozprasza ich krakanie wron.

Jeśli jest zima, to powinniśmy wyobrazić sobie mróz. Trzaskający mróz. Mróz tak wielki, że wino w kielichach tężeje w galaretkę, a kilkunastoletni wówczas Tadeusz Macias (dziś emerytowany pedagog i wizytator kuratorium) widzi, iż dłonie księdza podnoszącego Najświętszy Sakrament (jest to prawdopodobnie ksiądz Fasuga) są całkiem sine.

Później możemy wyobrazić sobie na przykład muzykę. Dobiega z chóru, z zielonych, dębowych organów. Na tym instrumencie gra Władysław Solak, szalenie zdolny organista samouk. Gra pięknie, nieskazitelnie. A jeśli – nie daj Boże! – ludzie w kościele zaczynają mu fałszować, urywa w pół tonu i jak nie rąbnie od początku! Nigdy nie pozwala psuć melodii.

Moglibyśmy też wyobrazić sobie pustkę – taką pustkę jak niezagojona rana. Tą raną była stara rzeźbiona ława kolatorska, na której przed okupacją siedziała dziedziczka Irena Dunikowska z Łososiny z mężem, podporucznikiem Jerzym Dąbrowskim. Po wojnie ława opustoszała. Dąbrow-

scy nie mieli dzieci. Jerzy do sowieckiej niewoli poszedł z różanicem w kieszeni munduru. Miał go wciąż, kiedy rozstrzelano go w Katyniu.

Dziedziczka Irena została sama. W 1945 roku na dwór, w którym mieszkała, napadli czerwonoarmiści. Po tym, co zrobili, już nigdy nie doszła do siebie. Zmarła wkrótce potem.

Z początku ławy stały puste, lecz proboszcz zapraszał do nich nauczycieli, zakonnice i inne godne osoby. Janina była wtedy młodą polonistką i niesamowicie się krępowała. – Starsi ode mnie będą stać... – martwiła się. Ale nauczycieli niezwykle wtedy szanowano, więc nawet gdy stawiała z tyłu, ludzie i tak ciągnęli ją ku ławkom, by siedziała.

Z czasem ławy się zapełniły i rana się zagoiła.

NOWY KOŚCIÓŁ KSIĘDZA PIĄTKA

O tym, że Łososina potrzebuje nowego kościoła, mówiło się już od lat sześćdziesiątych Matce Bożej Pocieszenia z XV-wiecznego, słynącego łaskami obrazu na desce wierni przyrzekli większą świątynię.

Niestety władza ludowa miała inne plany. Chciała raczej zalać Łososinę z jej szkołą, cmentarzem i starym kościołem wodą sztucznego zbiornika. I pewnie tak by się stało, gdyby nie ksiądz Piątek.

Ksiądz Piątek wymyślił, żeby poprosić o pomoc Matkę Bożą.

W każdą sobotę na nowennie modlono się do Niej, żeby zalewu nie było. W 1982 roku władze zrezygnowały z potopu. Rok później ksiądz Piątek rozpoczął wznoszenie nowego, dużego kościoła w Łososinie. Budowa trwała cztery lata i kosztowała go zawał.

Z książek księdza Piątka można dowiedzieć się o tej budowie wszystkiego. Można tam przeczytać, że pierwsze 10 tysięcy cegieł ksiądz kupił w Wadowicach 11 lutego i że czterdziestu pięciu parafian ofiarowało wówczas 59 kubików drewna. Że podczas budowy ksiądz nikogo nie poczęstował alkoholem i że zjednywał urzędników kawą i łososińskimi jabłkami. Że Frank Owsianko z Forestville



ofiarował na kościół dwadzieścia dolarów i że w 1987 roku sto gospodyń gotowało dla robotników.

Ale najważniejsze jest, że 30 sierpnia 1987 roku Łososina Dolna miała nowy, murowany kościół. I że stary, zimny, drewniany kościółek wymagał już wówczas generalnego remontu, na który parafii nie było stać.

ZAGUBIONE W TRANSPORCIE: CHRZEST, ŚLUB, POGRZEB

Gdybyśmy chcieli odnaleźć to, co zginęło podczas przenosin kościółka do skansenu, musielibyśmy wyobrazić sobie chrzest. Brat Tadeusza Maciasia otrzymuje go w 1944 roku. Jest wojna i zaproszeni goście mają problem, żeby dotrzeć do Łososiny. Chrzestnym nie udaje się dojechać i trzeba szybko prosić sąsiadów.

Musielibyśmy wyobrazić sobie komunię. Przystępuje do niej Janina Pawłowska. Musi stanąć na stopniach przed ołtarzem, przed rodzicami i dziećmi, żeby – co za okropne przeżycie! – wyrecytować modlitwę. Potem wszystkie dzieci dostają pamiątkowy obrazek. Obrazek jest nieoprawiony, ale przy kościele mieszka ubogi pan, który handluje dewocjonaliami – nazywają go Szefuś – i on chodzi potem po domach, żeby zebrać od wszystkich te dyplomiki i zawieźć je do oprawy. Ma z tego nic albo niewiele. Wszystko, co zarobi, oddaje na potrzeby kościoła.

Musielibyśmy wyobrazić sobie ślub. Janina bierze go 11 listopada 1955 roku. Przyszły mąż przychodzi po nią do domu i prowadzi do kościoła, a że gra w parafialnej orkiestrze (bo Łososina ma parafialną orkiestrę, w której grają klarnety, flety, trąbki, saksofony, puzony, tuby, bębny i talerze), więc idą przy wtórze marsza. Pogoda jest piękna, Janina ma na sobie długi welon, kościół zaś jest prześlicznie przybrany kwiatami. O to przybranie zadbała Teklusia, skromniutka starsza panna, która ma w Łososinie kwiatowy ogród i z dobrego serca oddaje jego plony.

Musielibyśmy wyobrazić sobie pogrzeb. Dzwonią żałobnie dzwony z drewnianej dzwonnicy, jest i orszak, i trumna, tylko nikt we wsi nie wie, kto umarł! Wreszcie okazuje się, że to synowie organisty Solaka, Danek od Urygów i kilku innych chłopców zmajstrowali to wszystko

dla heczy. Wszyscy śmieją się i wcale nie gniewają, a psotne chłopaki wyrastają z czasem na ludzi.

POŻEGNALNE KAZANIE KSIĘDZA PIĄTKA

Pomysłów, co zrobić ze starym kościółkiem, było kilka. Ktoś wymyślił, żeby oddać go parafii Ochotnica Dolna albo osiedlu domków jednorodzinnych z Warszawy. Ktoś inny zaproponował, żeby przenieść go na cmentarz. Ksiądz Piątek nie zrealizował żadnego z nich. W 1998 roku przeżył zawał. Zrezygnował z probostwa, oddał się historii, spowiedzi, chorem i książkom. Przekazanie drewnianej świątynki do skansenu w Nowym Sączu przeprowadził już jego następca, ksiądz Antoni Myjak, w 2003 roku.

Zanim przystąpiono do demontażu i transportu, 8 października 2003 roku o godzinie 14, ksiądz Piątek wygłosił kazanie na pożegnanie starego kościoła. Cytował Plutarcha, przypominał historię, wyliczył, że świątynia służyła dwieście czterdzieści osiem lat i że ochrzczono tu siedemnaście tysięcy dzieci. – Ale aby ten kościół żył, musi być rozebrany, przeniesiony i odremontowany. Takie są prawa przyrody – powiedział.

Przenosiny porównał do operacji serca, która uratowała mu życie po zawale.

Wkrótce po kazaniu robotnicy rozebrali kościółek belka po belce. Musiała nad nimi czuwać opatrność, bo przez trzy następne miesiące nie było śniegu, deszczu ani mrozu. Firma uwinęła się nad podziw i na Boże Narodzenie kościółek stał już w skansenie. Dach pokrywały nowe gonty, chór muzyczny delikatnie powiększono, by zmieścić dodatkowe dwa głosy organów, odrestaurowano ołtarze...

Poza tym wszystko było dokładnie tak, jak w Łososinie. No, może poza tym, czego nie było.

Dziękuję pani Janinie Pawłowskiej i panu Tadeuszowi Maciasowi za podzielenie się wspomnieniami o kościółku oraz pani Krystynie Marzec, dyrektor Gminnej Biblioteki Publicznej w Łososinie Dolnej z siedzibą w Tęgoborzy, za zorganizowanie spotkania i gościnę.



ZBÓR EWANGELICKI ZE STADEŁ NOWY SĄCZ, MUZEUM OKRĘGOWE W NOWYM SĄCZU

My nie jesteśmy przeciwni budowaniu kościołów i ich właściwemu wystrojowi; nie możemy być bez nich. Publiczne nabożeństwa powinny być odprawiane jak najgodniej. Lecz powinniśmy wyznaczyć linię graniczną i powinniśmy dbać o to, aby kult był raczej czysty niż kosztowny [...] Byłoby właściwie, gdybyśmy dali mniejszą część na rzecz kościołów czy ołtarzy [...], a większą przeznaczili na potrzebujących.

Marcin Luter

Dla protestantów kościół to przede wszystkim miejsce, w którym zbierają się na wspólnej modlitwie i wsłuchują w słowa Pisma Świętego. W odróżnieniu od świątyń katolickich, często wielonawowych i z licznymi kaplicami, w kościołach protestanckich dąży się do stworzenia jednej niepodzielonej przestrzeni umożliwiającej wspólne zgromadzenie się zboru wokół ołtarza i ambony.

Zawieszona na pewnej wysokości ambona dla kaznodziei sprawia, że jest on dobrze widziany i słyszany z każdego miejsca. Jej znaczenie w przestrzeni wnętrza jest tak istotne, że dorównuje ołtarzowi.

Chrzcielnicę, ambonę i ołtarz łączy w przestrzeni kościoła symboliczna więź. Unaocznia ona drogę chrześcijanina: od Chrztu, poprzez słuchanie słowa Bożego do Sakramentu Ołtarza.

Ambona i ołtarz są niekiedy rzeczywiście połączone w jedną konstrukcję, tzw. Kanzelaltar. W zborze ze Stadeł w jego centrum znajduje się obraz Zwiastowanie Najświętszej Marii Pannie, po jego obu stronach przedstawienia: św. Jan Chrzciciel, św. Klara, św. Jan Ewangelista i św. Kinga, a poniżej w predelli scena Pokłonu Trzech Króli. Ten dość nietypowy dla sztuki ewangelickiej dobór scen wynika z faktu, że ołtarz został pierwotnie wykonany do świątyni katolickiej (pochodzi z dawnego kościoła oo. Franciszkanów w Nowym Sączu). Po kasacie zakonu (1785) został zakupiony przez cyrkuł sądecki, a następnie odsprzedany gminie ewangelickiej. Na początku XIX w. ołtarz został przerobiony (połączono go z amboną), tak by odpowiadał potrzebom zboru.

Opracowanie: K. Pachla-Wojciechowska

Fragment rysunku S. Wyspiańskiego z 1889 r. przedstawiającego wnętrze zboru w Stadłach

KALENDARIUM

1781 W ramach akcji kolonizacyjnej zwanej od imienia cesarza Józefa II Habsburga józefińską do Galicji napływają osadnicy niemieccy. Do Stadel w 1783 r. przybywa osiemnaście rodzin.

1786 Koloniści w Stadłach przebudowują starą drewnianą kaplicę, która służyć będzie wiernym obrządku ewangelicko-augsburskiego zamieszkującym okoliczne miejscowości.

1806 W świątyni wybucha pożar. Odbudowa będzie trwać do 1809 r.

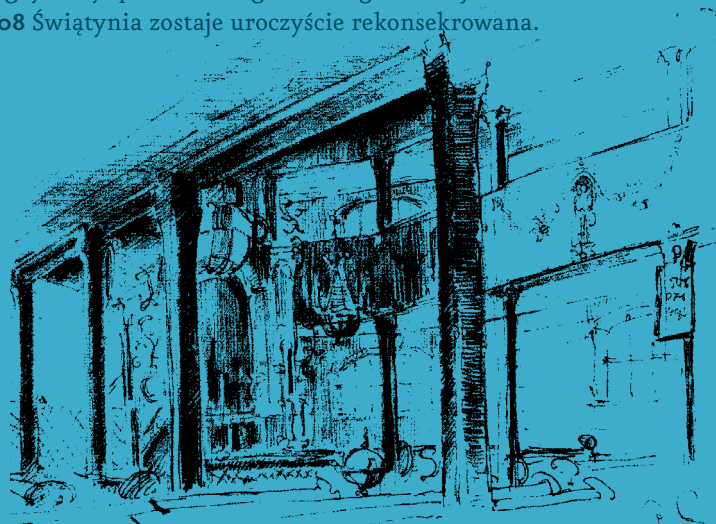
1944 Potomkowie kolonistów józefińskich otrzymują od władz nazistowskich nakaz opuszczenia swoich domów i przeniesienia się wraz z wycofującym się wojskiem na teren Niemiec. Świątynia w Stadłach przestaje być miejscem spotkań i modlitw zboru.

1958 Budynek zostaje rozebrany i przeniesiony do nowo powstałej parafii rzymskokatolickiej w Świniarsku. Odbudowana świątynia różni się od tej w Stadłach: dobudowane zostają soboty i zakrystia, empory zlikwidowane, na dachu nawy głównej umieszczona zostaje sygnaturka, kształt wieży zostaje zmieniony.

Maj 2003 W czasie wiosennej burzy w kościół uderza piorun i wybucha pożar. Spłonęła część wieży, uszkodzona zostanie również konstrukcja więźby dachowej i stropów. Ponieważ parafia w Świniarsku jest właśnie w trakcie budowy nowej świątyni i nie może podołać sfinansowaniu odbudowy drewnianego kościoła zapada decyzja o przekazaniu go do Sądeckiego Parku Etnograficznego.

2004/2005 Transfer kościoła do skansenu i odbudowa. Budynek zostaje zrekonstruowany w kształcie z lat 20. i 30. XX w., gdy służył parafii ewangelicko-augsburskiej w Stadłach.

2008 Świątynia zostaje uroczystie rekonsekrowana.



PAMIĘĆ CYFR O LICZBACH, KTÓRE WYZNACZAŁY ŁAD, WĘDRÓWKACH LUDZI I BUDYNKÓW, SAGACH, KTÓRE KRYJĄ SIĘ W DA- TACH I KWOTACH ORAZ INNYCH TAJEMNICACH DREWNI- NEGO KOŚCIOŁKA EWANGELICKIEGO ZE STADEŁ, KTÓRY WYWĘDROWAŁ DO SKANSENU W NOWYM SĄCZU

Nie wiadomo, kto i kiedy wymalował na ścianach te liczby.

Musiało się to zdarzyć po pożarze w 1806 roku, a przed pobieleniem ścian (na zdjęciach z lat 30. XX wieku ściany są już pobielone i liczb nie widać). Ktoś musiał wziąć czarną farbę i pięknym gotyckim pismem wypisać: 1, 2, 3... 152, 153, 154...

Wiele lat później, kiedy liczby odkryto, myślano, że są numerami psalmów. To jednak nie była prawda. Liczby były przyporządkowane do ludzi. Chroniły przed chaosem. Wyznaczały ład.

Dzięki nim wszyscy wiedzieli, czy w niedzielne przedpołudnie w ławce kościoła ewangelickiego w Stadłach pod numerem 127 zasiądzie Johann Schmidt z małżonką, stary pan Flossner, czy może panna Butz.

My, niestety, nie dowiemy się tego już nigdy.

ZIEMIE OBIECANE

Agitatorzy jeżdżą tam, gdzie jest najgorzej. Odwiedzają wsie Szwabii, Badenii, Palatynatu, Hesji i Nassau. O tych terenach mówi się, że łatwiej tam spotkać wilka niż chłopą. Agitatorzy szukają jednak chłopów. – Dobry cesarz Józef II pragnie ulżyć waszej doli – ogłaszają. – Da wam ziemię, chałupę i stajnię, całkiem za darmo. Co więcej, zwolni was od wojska i przez dziesięć lat nie będzie pobierał podatków. Musicie tylko jechać na wschód. Podróż i wstępne zakwaterowanie zapewni wam kancelaria...

Ziemia, o której mówią agitatorzy, to uzyskana w pierwszym rozbiórze Polski Galicja. Od 1783 do 1789 roku osiedli się tam osiemnaście tysięcy niemieckich kolonistów. Będzie wśród nich Konrad Butz z żoną, sześciolatnym synem

Johannesem Peterem i córką Kathariną Margarethą oraz Johann Heinrich Gerhard z żoną Anną Elisabeth i dziećmi: Marią Elisabeth, Anną Evą i Johannem Georgiem. Z wydanymi w Wiedniu paszportami przekroczą granicę w Białej i skierują się ku Nowemu Sączowi. Ich potomkowie wytrwają w Świniarsku, Stadłach, Gołkowicach, Podrzeczu aż do 1944 roku.

Na miejscu, oczywiście, nic nie wygląda tak, jak obiecywali agitatorzy.

Kraj jest biedny, grunty liche. Na dodatek kancelaria nie ze wszystkim zdążyła na czas. A właściwie z większością spraw nie zdążyła. Obiecanej ziemi nie ma – to znaczy jest (cesarz skonfiskował ją między innymi polskiemu klasztorom), lecz wciąż nie rozparcelowana. Nie ma tymczasowych chałup...

Do Stadel przyjeżdża osiemnaście niemieckich rodzin. Stawiają domy po prawej stronie drogi. Tereny naprzeciw przeznaczą na łąki. Z czasem wzniosą tam też kościół, w którym nieznana ręka wypisze czarnym gotykiem szeregi liczb.

W początkowy chaos zaczynają wprowadzać swój ład.

SAMOOBŚLUGOWA SAGA

Zostało po nich naprawdę dużo liczb: archiwa pełne dat, rejestry, spisy kwot. Całe litanie. Dzięki nim możemy sami układać ich rodzinne sagi.

Weźmy na przykład Konrada Butza.

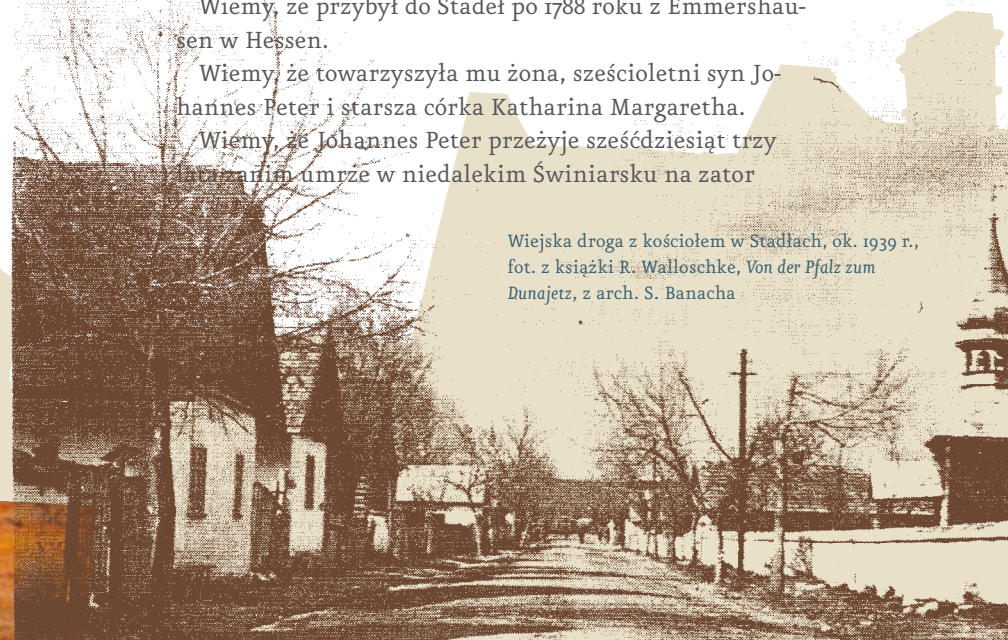
Wiemy, że przybył do Stadel po 1788 roku z Emmershauzen w Hessen.

Wiemy, że towarzyszyła mu żona, sześciolatni syn Johannes Peter i starsza córka Katharina Margaretha.

Wiemy, że Johannes Peter przeżyje sześćdziesiąt trzy lata i zmarł umrze w niedalekim Świniarsku na zator

Wiejska droga z kościołem w Stadłach, ok. 1939 r.,
fot. z książki R. Walloschke, *Von der Pfalz zum
Dunajetz*, z arch. S. Banacha

Numery na jednej z belek w zborze ze Stadel,
z arch. MIK, fot. K. Pachla-Wojciechowska



tętnicy płucnej i zostanie pochowany w Stadłach. Zostanie po nim wdowa Maria, zwana Marianną, i dziewięcioro dzieci. Wiemy, że umrą mu trzy córki: jedna w połogu, druga z wychudzenia, a trzecia na gorączkę malaryczną.

Wiemy, że Konrad, jego drugi syn, poślubi Susanę Gerhard i także spłodzi dziewięcioro dzieci (Peter umrze w wieku pięciu lat na wysypkę, Johann jako niemowlę na kurcz, a Konrad przy porodzie).

Wiemy, że najstarszy syn Konrada, także Konrad, ożeni się z imienniczką matki (także Susaną i także Gerhard), ale będzie miał tylko jedno dziecko, syna Johanna.

Wiemy, że ten Johann poślubi Christine Gerhard i – jak jego dziadek i pradziadek – będzie miał dziewięcioro dzieci. Najstarsza córka Emilie wyjdzie za mąż za Martina Fröhlicha, wójta Stadel i urodzi mu jedynaczkę, którą nazwą Gertrude...

DOBRE WYDANE 2500 FLORENÓW

Wszystkie te śluby, chrzty i pogrzeby odbywają się w kościele w Stadłach. To pierwsza z dwóch ewangelickich świątyni na Sądecczyźnie. Zakłada ją pastor Johann Michael Christian Seitz krótko po swoim przyjeździe w 1786 roku. Z początku korzysta prawdopodobnie ze starej katolickiej kaplicy.

W 1806 roku świątynię niszczy pożar. Odbudowa kosztuje kolonistów 2500 florenów.

Zajmują się nią polscy majstrowie. Stawiają kościółek według wskazówek osadników – jedyną nawę obiega galeria empor – ale belki wiążą po swojemu. By pomóc w odbudowie, ewangelicy z Nowego Sącza przekazują do Stadel siedemnastowieczny ołtarz. Kupili go od gminy żydowskiej, która z kolei pozyskała go ze zlikwidowanego klasztoru franciszkanów. Jest wciąż całkiem dobry, wymaga tylko niewielkiej przebudowy, tak by na górze znalazła się ambona, skąd pastor Seitz będzie głosił kazania. Wprawdzie w ołtarzu znajduje się obraz Matki Boskiej, lecz osadnicy decydują się go nie usuwać.

Być może to wówczas ktoś pięknym gotyckim piśmem wypisuje na ścianach nawy liczby 1, 2, 3... 154, 155... by

Pierwsza z lewej: prof. dr Gertrude Thiele ur. 1927 r. w Stadłach w domu nr 23, Stadla 1941 r., z arch. S. Banacha

Ambona połączona z ołtarzem w zborze ze Stadel z arch. MIK, fot. K. Pachla-Wojciechowska

raz na zawsze było wiadomo, gdzie zasiada stary pan Gerhard, a które miejsce przynależy pannie Butz.

Do kościołka co niedziela zjeżdżają parafianie z okolicznych niemieckich wsi. W 1886 roku jest ich dokładnie tysiąc. Potem ta liczba będzie spadać. Przed drugą wojną światową wyniesie już ledwie pięćset dusz.

OPOWIEŚĆ GERTRUDE

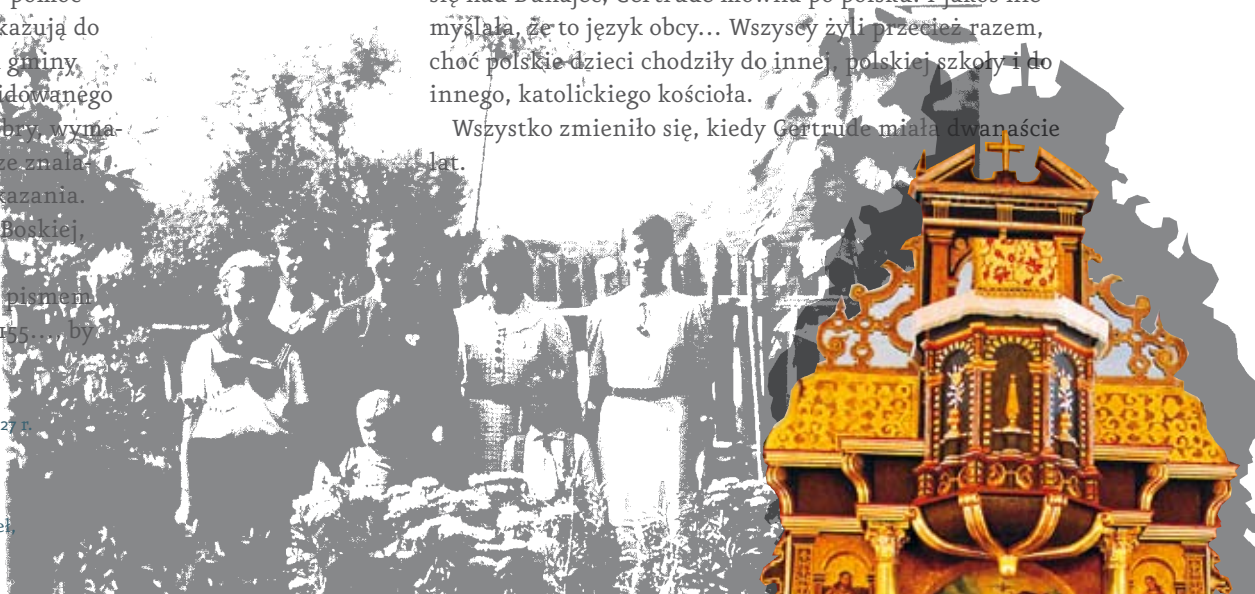
– To były ładne czasy – mówi prof. Gertrude Thiele, córka Martina Fröhlicha, wnuczka Johanna Butza, prawnuczka Konrada. – Mam z nich takie dobre wspomnienia...

Przed wszystkim pamięta Dunajec. Chodziło się nad niego przez wiklinę, która była dłuższa niż dziś. Pamięta też ławki, ustawione wzdłuż drogi przez wieś, na których wieczorami siadywali starsi ludzie. Pamięta wspólne skubanie pierza, dziadka wiozącego jajka na targ do Starego Sącza i wracającego z cukierkami oraz karcznię, gdzie kupowała papierosy dla tatusia.

Tatus Martin Fröhlich był wójtem Stadel. Sadził warzywa, zbierał plony i woził do Piwnicznej na targ. Sprowadzał do wsi rolnicze nowinki. Najstarsi mieszkańcy wciąż go pamiętają – zwłaszcza ten pan, któremu za młodu ofiarował pomidora. Był to pierwszy pomidor w Stadłach i wzbudził raczej konsternację niż zachwyt. Jak na jabłko okazał się zupełnie niesmaczny.

Rodzice Gertrude żyli nieźle, choć nie bogato. Wtedy po prostu nikt nie był bogaty. W domu rozmawiali dialektem Hessen-Nassau, ale z dziećmi ze wsi, z którymi goniło się nad Dunajec, Gertrude mówiła po polsku. I jakoś nie myślała, że to język obcy... Wszyscy żyli przecież razem, choć polskie dzieci chodziły do innej, polskiej szkoły i do innego, katolickiego kościoła.

Wszystko zmieniło się, kiedy Gertrude miała dwanaście lat.



Polacy zaczęli nagle szukać do Niemców dystansu. – Jakbyśmy nagle stali się sobie obcy – wspomina prof. Thiele. Był 1939 rok i właśnie wybuchła wojna.

WĘDRÓWKI LUDZI I BUDYNKÓW

Rozkaz przychodzi w 1944 roku. Wydają go niemieckie władze: Niemcy mają opuścić Galicję i udać się na zachód. To dla ich dobra (do Polski wkracza już Armia Czerwona, a sowieccy żołnierze nie oszczędzają ludności cywilnej), lecz Gertrude Thiele zapamięta to tak: – Wyrzucili nas.

Osadnicy z Gołkowic, Stadel, Podrzecza, Nowego Sącza i innych wsi zostawiają swoje domy, kościół i zmarłych na cmentarzu, pakują, co mogą, i odchodzą na zawsze. Nie wszyscy.

W Stadłach odmawia wyjazdu młody Johann Schmidt. Jest zakochany w Polce, spodziewają się dziecka. Oboje zginą rozstrzelani. Johann będzie prawdopodobnie ostatnim niemieckim osadnikiem pochowanym w Stadłach.

Przez najbliższe dwanaście lat drewniany kościółek będzie stał opuszczony. Dopiero w 1956 roku zainteresują się nim mieszkańcy Świniarska. Organizują właśnie parafię rzymskokatolicką, chcą stawiać kościół, a skoro w Stadłach stoi jeden, zupełnie nieużywany, to może dałoby się przenieść go o te cztery kilometry...?

Pomysł popiera ksiądz infułat z Nowego Sącza i pani konserwator zabytków z Krakowa. Wydział do spraw wyznań próbuje jeszcze robić trudności, ale ludzie w ciągu jednej nocy rozbierają budynek, a belki chowają u siebie po stodołach. Teraz władze nie mają już wyjścia i w 1958 roku dawna ewangelicka świątynia, nieco przebudowana, staje w Świniarsku jako kościół rzymskokatolicki. Będzie tam służyć przez następne czterdzieści pięć lat.

To jednak nie koniec podróży „wędrującego kościółka”. Nadchodzą lata dziewięćdziesiąte. Stare drewniane świątynie nie wystarczają już dużym wiejskim parafiom. Teraz stawia się ciepłe, murowane kościoły i Świniarsko nie jest pod tym względem wyjątkiem.



Rodzina Fröhlich przed domem, Stadła 1934 r., z arch. S. Banacha

W 2003 roku w drewniany kościółek trafia piorun. Wybuchła pożar. Ogień niszczy przebudowaną w latach pięćdziesiątych wieżę. Strażacy ratują wyposażenie i ściany kościoła. Niestety, Świniarska, które właśnie stawia wielki, murowany kościół, nie stać na remont starego. Parafia decyduje się przekazać go do skansenu w Nowym Sączu.

Późną jesienią 2004 roku kościół po raz kolejny wyrusza w podróż.

PAMIĘĆ CYFR

Kiedy robotnicy z Tatrzańskiej Firmy Budowlanej przystępują do rozbioru drewnianego kościoła w Świniarsku, na każdą belkę nabijają blaszkę z numerem. To pozwoli im – już w skansenie – poskładać je w odpowiedniej kolejności.

Numerki na blaszkach wyznaczają ład. Chronią przed chaosem.

Kiedy kościół staje w skansenie, okazuje się, że na ścianach ma jeszcze inne liczby. Nieznana ręka wypisała je pięknym, czarnym gotykiem: 152, 153, 154... Cyfry biegają po ścianach seriami, na różnych wysokościach, bez ładu i składu, bez początku i końca, w chaosie. Niektórzy myślą, że to numery psalmów, ale to nie prawda.

To numery miejsc.

Dzięki nim każdy w Stadłach wiedział, w której ławce zasiada stary pan Gerhard i jakie miejsce przynależą pannie Butz.

Wymieszały się, kiedy kościół wędrował ze Stadel do Świniarska.

Pracownicy skansenu długo zastanawiali się, co nimi zrobić. Poukładać? Zamalować? Zostawić w nieładzie? Zdecydowali, że pobielą ściany (jak w latach trzydziestych) i zamalują większość desek z liczbami. Te, które zostaną widoczne, będą świadczyć o oryginalnym kolorze drewnianych ścian. I o chaosie, który nieuchronnie wkrada się w każdy, nawet najbardziej uporządkowany świat.

Dziękuję panu Stanisławowi Banachowi za pomoc w dotarciu do wspomnień kolonistów oraz udostępnienie zdjęć.

Ewald Butz na rowerze ze swoją kuzynką Udi (dzisiaj: prof. dr Gertrude Thiele), Stadła ok. 1941 r., z arch. S. Banacha

Zbór ze Stadel w trakcie rekonstrukcji w Sądeckim Parku Etnograficznym w 2005 r., z arch. MONS, fot. W. Śliwiński

ZAGRODA MAZIARSKA W ŁOSIU

ŁOSIE, MUZEUM DWORY KARWACJANÓW

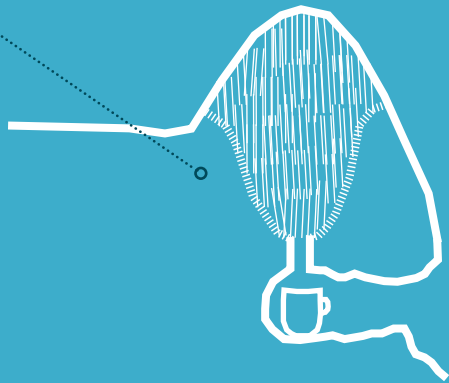
I GŁADYSZÓW W GORLICACH

W Łosiu mówi się, że „jak Łosie Łosiem, zawsze tu ludzie handlowali”. Do połowy XIX wieku głównie mazią drzewną i dziegciem, które pozyskiwali, wypalając drewno. Później produktami pochodzenia naftowego: mazią, smarami technicznymi, olejem i naftą.

Z drewna. W procesie suchej lub rozkładowej destylacji drewna, polegającym na jego spalaniu bez dostępu powietrza, otrzymywano: terpentynę, dziegieć i maź drzewną. Do wykopanej w zboczu ziemnej jamy o ścianach obłożonych gliną wkładano tzw. podpałki, nazywane też smołówkami. Były to szczapki karpiny, czyli pniaka pozostawego po wycięciu sosny. Jama zwężała się ku dołowi, gdzie pozostawiano otwór, pod który podstawiano naczynia na ściekające produkty destylacji. Wypełniony dół okrywano szczelnie mchem, darnią czy liśćmi, by uniemożliwić dostęp powietrza. Następnie podpalano drewno i rozpoczął się „wytop”. Po kilku godzinach do naczynia zaczynała spływać terpentyna, potem dziegieć, a na końcu maź drzewna.

Dziegieć. Uważany był za skuteczny lek na choroby skóry. Działa dezynfekująco. Wykorzystywany był również jako: impregnat (płótna, skóry), uszczelnianiec i klej.

Z ropy. W procesie destylacji surowej ropy otrzymywano: benzynę, naftę, olej gazowy oraz maź. Metalową beczkę (200 l) kładziono poziomo na kamieniach w pobliżu strumienia. Wypełniano ją w 2/3 ropą. Do beczki mocowano za pomocą szpuntu długą metalową rurkę. Jej pierwszy odcinek kładziono na ziemi; drugi – spiralę, zanurzano w wodzie, by spełniała funkcję chłodnicy; trzeci odprowadzał produkty destylacji do metalowych naczyń. Pod beczką rozpalano ognisko. Otrzymywano kolejno: benzynę, naftę, olej. Maź zostawała w beczce.

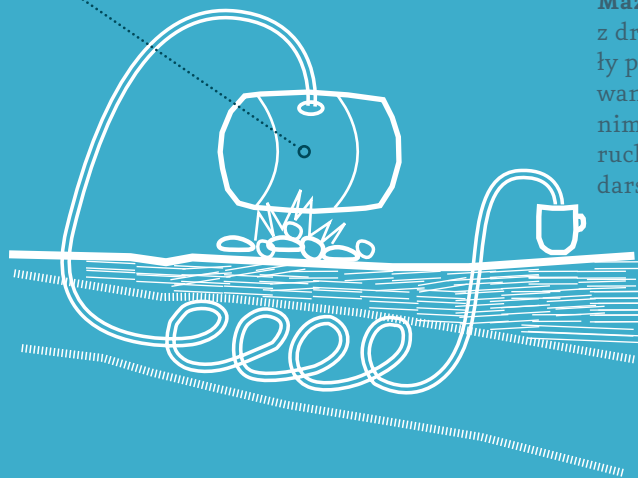


KALENDARIUM

1891 Nieopodal cerkwi greckokatolickiej pw. Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Łosiu wybudowana zostaje zagroda łemkowska. Dzieje się to w czasie, gdy mieszkający we wsi maziarze, czyli handlarze, którzy do tej pory zajmowali się głównie obwoźną sprzedażą mazi drzewnej i dziegciu, zaczynają interesować się sprzedażą smarów pochodzenia naftowego. Nabywają je w Gorlicach lub pozyskują sami dzięki umiejętności wytwarzania ich z ropy, którą mają na miejscu. Wypływa ona samoczynnie na Perekopach czy Równiach. Dla wygody, tam gdzie ropa wydobywa się z ziemi, budują kopanki, czyli drewniane studnie z cembrowinami. Sposób pozyskiwania produktów pochodzenia naftowego staje się pilnie strzeżoną tajemnicą łosian. Dzięki niemu staną się monopolistami w handlu obwoźnym tymi produktami. Okres świetności nadejdzie w latach 20. i 30. XX w. W 1934 r. w drogę wyjedzie 335 wozów z beczkami pełnymi mazi. Docierać będą aż po Siedmiogród, na Ukrainę, w głąb Rosji, na Litwę, Łotwę oraz na Węgry. Schyłek tego tak dobrze prosperującego interesu nadejdzie wraz z końcem wojny. Większość Łemków zostanie zmuszona do opuszczenia swoich wsi, a wszelki handel prywatny będzie ograniczany przez państwo.

31 X 2009 W zagrodzie, na którą składają się chyża mieszkalna, stodoła i spichlerz, uroczyscie zostaje utworzona nowa filia Muzeum Dwory Karwacjanów i Gładyszów prezentująca fascynującą historię wsi i maziarstwa.

Maź. Zarówno ta uzyskiwana z drewna, jak i ta z ropy służyły przede wszystkim do smarowania osi wozów. Naoliwiano nimi również inne elementy ruchome w sprzętach gospodarskich.



Opracowanie: K. Pachla-Wojciechowska
Rys. A. Buława-Orłowska na podst. M. Brylak-Zału-
ska, *Maziarska wieś Łosie*, Kraków 1983 oraz materiałów
z arch. MDKG

KONIEC IMPERIUM MAZI O CZARNYM ZŁOCIE, WIELKIM IMPERIUM, KTÓRE PRZE- PADŁO BEZ ŚŁADU, WIĘCEJ NIŻ TRZYSTU CHŁOPACH ZE WSI POD GORLICAMI, KTÓRZY NA PÓŁ WIEKU ZMONO- POLIZOWALI HANDEL PRODUKTAMI Z ROPY NAFTOWEJ WE WSCHODNIEJ EUROPIE ORAZ INNYCH SEKRETACH ZAGRODY MAZIARSKIEJ W ŁOSIU

Licencja wypisana jest zielonym atramentem.

Właściciel tej licencji – głosi okrągłe pismo nieznanego urzędnika – syn Juliana i Aleksandry, urodzony 14 lipca 1925 roku w Łosiu, kawaler, wniósł opłatę skarbową w wysokości sto osiemdziesiąt złotych i uprawniony jest do obwoźnego handlu smarami do wozów i oliwą do maszyn. Licencja – pisze na zielono urzędnik – ważna jest na obszar województwa rzeszowskiego.

Na zdjęciu widnieje mężczyzna. Ma dwadzieścia sześć lat, gęste włosy, zaczesane do tyłu, garnitur, krawat i czyste, śmiałe spojrzenie. Na zdjęciu tego nie widać, ale ma też znak szczególny: ślad po ranie w lewe ramię.

To Grzegorz Jewusiak. Jeden z ostatnich maziarzy z Łosia.

Nie wiadomo, kto nauczył łosian wytwarzać maź. Gęsty, czarny smar do oliwienia drewnianych osi wozów i impregnacji gontów, parkanów i futryn robią początkowo z drewna. Na Opuszkowej Polance na górze Dił kopią doły, w których bez dostępu powietrza spalają pniaki po wyrębie drzew. Do podstawionych garnczków kapie terpentyna, dziegieć i maź. Łosianie są znani z handlu nimi.

Ale prawdziwą sławę przyniesie im dopiero ropa naftowa.

Maziarze z Łosia (nie wiadomo skąd) potrafią za pomocą beczki, rurki i wody ze strumyka przerobić ją na

benzynę, naftę, olej i gęstą maź. Na zaprzężonych w parę koni wozach będą je rozwozić po całej Polsce i ładnym kawałku Europy. Dotrą do Siedmiogrodu, Odessy i Estonii. Z ubogiej wsi pod Gorlicami uczynią centrum wielkiego imperium obwoźnego handlu pochodnymi ropy naftowej – imperium, które w ciągu kilkudziesięciu lat rozbłyśnie, zajaśnieje i zniknie bez śladu.

Jeśli, oczywiście, nie liczyć kilku starych beczek, dwóch wozów, paru niszczących domów i bardzo wielu zdjęć.

Oraz wypisanej zielonym atramentem licencji.

CZARNE ŹRÓDŁO

Wszystko zaczyna się na przełomie wieków.

Jeszcze w 1880 roku Łosie jest dużą, lecz ubogą wsią nieopodal Gorlic. Robi się tu maź z drewna, uprawia lichą ziemię i z ciekawością zerka na kałuże ropy, która samoistnie wypływa na łące przy drodze na Bielankę oraz w lesie na Równiach. Od niedawna czarne źródła ściągają w okolice Gorlic przemysłowców. Dwadzieścia kilometrów stąd, w Siarach, działa pierwszy na świecie szyb naftowy. Trzydzieści kilometrów dalej, w Jasle, powstał już zakład destylacji ropy. Wkrótce pojawią się rafinerie w Gorlicach, Ropie, Gliniku Mariampolskim.

Przed Łosiem jeszcze kilka lat spokoju. Ale już bardzo niewiele.

W 1884 roku powstaje rafineria w Gorlicach. Łosianie wietrzą interes. Mają smykałkę do handlu (ponoć niegdyś wozili bocheńską sól i węgierskie wina) oraz doświadczenie w rozwożeniu mazi. Teraz kupują w gorlickich rafineriach świetnej jakości oleje, naftę, parafinę, towot, kalipsol i asfalt, ładują na wozy i ruszają w Austro-Węgry, Rosję, Kongresówkę. Dojadą na Morawy i do Siedmiogrodu. Pięciu zapaści się aż do Odessy. W ciągu kilkunastu lat stworzą wielkie ruchome imperium handlowe.



Licencja na przemysł okrężny Grzegorza Jewusiaka, z arch. MIK, fot. K. Pachla-Wojciechowska



Kopanka w Łosiu na Perekopach, z arch. MONS, fot. M. Brylak, 1965

Dziegiarz z Bielanki, Feciuch, w Sądckim Parku Etnograficznym podczas wytopu dziegiu, z arch. MONS, fot. M. Długosz, 1976



W 1900 roku w co drugim łosiańskim gospodarstwie jest już przynajmniej jeden maziarz. A to dopiero początek. Prawdziwy boom przyjdzie w latach międzywojennych, kiedy w dwustu osiemdziesięciu domach w Łosiu będzie żyło dwustu trzydziestu wędrownych sprzedawców mazi. Będą wozić smary na Śląsk, zaopatrywać w oleje łódzkie włókiennictwo, dowozić naftę i towoty do dworów, tartaków, foluszy i gorzelni. Zbiją potężne majątki.

Ktoś policzy, że w 1934 roku w drodze będzie ponad trzysetu trzydziestu pięciu maziarskich wozów.

Grzegorz Jewusiak, właściciel licencji wypisanej zielonym atramentem, będzie miał wówczas dziewięć lat.

RÓŻOWY JEDWAB

Grzegorz jest najmłodszy z siedmiu braci Jewusiaków. Maziarstwem zajmuje się starszy Michał. Musiał nauczyć się fachu od kolegów, a może zatrudnił się jako pomocnik u doświadczonego maziarza? Ojciec Grzegorza i Michała jest jednym z nielicznych łosian, którzy w latach międzywojennych nie handlował oliwami. Był za to w Ameryce, pracował w kopalniach, w dwudziestolecie międzywojennym wrócił do Łosia.

Maziarstwo właśnie przeżywa swój rozkwit. To czas szybkich fortun.

Hurtownik z Łosia zarabia w sezonie dwanaście tysięcy koron. Najbogatszy – Piotr Dutka – do spółki z Żydem Samuelem Szpicem rozkręca fabrykę smarów. Jego przedsiębiorstwo obraca w ciągu roku prawie milionem złotych. Łosianie zakładają w całej Polsce własne składy handlowe.

Uboga wieś koło Gorlic zmienia się nie do poznania.

Już przed 1900 rokiem w Łosiu stoją dwa murowane budynki – szkoła i dom jednego z maziarzy. Do 1935 roku

Jedna z drewnianych willi w Łosiu,
z arch. MIK, fot. P. Hłyń

W tle: fragment pocztówki z ok. 1905 r.
przedstawiającej rafinerię w Gliniku
Mariampolskim, z arch. MR PTTK
w Gorlicach, repr. w Zagrodzie Maziarskiej w Łosiu

Kobiety łosiańskie, repr. ze zdjęć rodzinnych
– P. Droździk, z arch. MONS

Para łosiańska, okres II Rzeczypospolitej,
repr. ze zdjęć rodzinnych – P. Droździk,
z arch. MONS

będzie ich aż dwanaście (w sąsiednich wsiach nie będzie się murować jeszcze przez najbliższe dwadzieścia lat). Wzbogaceni maziarze burzą swoje stare łemkowskie chyże. Zamiast nich stawiają domy z kilkoma izbami i kuchnią. Niektóre to prawdziwe piętrowe wille z ażurowymi werandami, pomieszczeniami dla służby i łazienkami. Projekt jednej z nich bogaty maziarz przywozi aż spod Gniezna. Dom dziedzica, u którego nocuje, podoba mu się na tyle, że odkupuje projekt...

Żony maziarzy nie noszą się jak chłopki. Chodzą w wąskich spódnicach, płaszczach i kożuszkach z Podhala. Niektóre mają nawet kapelusze i rękawiczki.

W 1926 roku pewna maziarska narzeczona bierze ślub. Wkłada tradycyjny kabat i zapaskę, lecz wszystko uszyte jest z białego i różowego amerykańskiego jedwabiu.

Pewnej osiemnastolatce ojciec maziarz przywozi żelazną wannę. Panienka kąpie się w niej raz na tydzień, a gorącą wodę przynosi jej służba.

Nic dziwnego, że przyjeżdżający w konkury urzędnicy z Gorlic i prawnicy z Krakowa dostają od pięknych i bogatych łosianek kosza. Łosianki wychodzą tylko za łosian.

Tymczasem obwoźną sprzedaż zajmują się już niemal wszyscy. Nie handluje tylko gminny pisarz i wójt, choć ten ostatni woli w końcu rzucić posadę wójta, by móc w spokoju zająć się mazią. Urzędnicza pensja ledwie starcza mu na życie, a w czasie, gdy urzędował, jego bracia maziarze pobudowali wspaniałe domy.

Byle pomocnik maziarza, kocisz, w tydzień może zarobić 80 reńskich. To równowartość dwóch krów.

Michał Jewusiak może być takim właśnie kociszem, zanim dorobi się własnego wozu i weźmie w trasę młodego Grzegorza.



JASNE GŁOSY

Wozy mają cztery metry długości, konstrukcję z buczyny i dębowe koła. Na taki wóz mieści się dwanaście beczek – dębowych na oleje, jodłowych na maź.

Maziarze wyjeżdżają, kiedy ustąpią śniegi i nigdy w piątek. Wielu nie wraca przed Bożym Narodzeniem.

Nigdy nie wchodzi sobie w drogę. Każdy jeździ własną, odziedziczoną po ojcu trasą. Ci, którzy jak Michał Jewusiak trudnią się handlem po wsiach, mają jasne, donośne głosy. Zatrzymują się zwykle u kowala. – Mazi, mazi, kto chce mazi niech z domu wyłazi! – krzyczą, a echo donosi wołanie aż do sąsiednich wsi.

Ludzie wierzą, że maziarz, poza mazią, przywozi im szczęście. Dziewczęta podkradają łopatkę do mazi i obwiązują wóz nitkami – to przyspiesza zamążpójście. Na Białostocczyźnie mówi się, że maziarze sprowadzają deszcz. Są dobrymi, mile widzianymi przybyszami. Wygadani, weseli, łatwo nawiązują przyjaźnie. Znają polski, słowacki, węgierski, litewski. Ludzie goszczą ich, nocują, wypytują o nowiny.

Hurtownicy także mają dobrą renomę. Nocują po dworach i szybko uczą się dobrych manier. Interesy z nimi to przyjemność. Słyną z uczciwości i punktualności.

Z wypraw z mazią łosianie przywożą nie tylko obcyce. Przywożą właściwie wszystko. Nawet jajka, ryż i puszkowane owoce. A przede wszystkim pieniądze.

Pod ich nieobecność domem i gospodarstwem zarządzają ich żony. Na główny plac Łosia, szlabant, chłopcy z okolicznych wsi ciągną jak do Ameryki. Kosiarza można tu wynająć za trzy złote dniówki, oracza z własnym pługiem za siedem.

Łosie kwitnie. Ale ten dobry czas już się kończy. Nadchodzi wojna.

Wóz maziarski z Łosia na postoju w Bobowej,
fot. R. Reinfuss, 1934, repr. P. Drożdżik,
z arch. MONS

Konewka na „oliwę”, czyli olej, i bańka na
naftę, z arch. MDKG

CIEMNE CZASY

Okupanci nie zezwalają na handel benzyną i naftą. Wolno sprzedawać jedynie smary do wozów. Ale na tym, co zakazane, można zarobić najwięcej. Trzeba tylko znaleźć ropę.

A ropa jest, wystarczy po nią sięgnąć.

Dzikie źródelka wciąż biją wokół Łosia. Czarne, cuchnące sadzawki, które wypływają spod ziemi na Perekopach i w lesie na Równiach wracają do łask. Ci, którzy nie chcą babrać się w kiepskiej ropie z dzikich źródeł, szukają dojść do pracowników gorlickich rafinerii. Ktoś wpada na błyskotliwy pomysł: przecież ropa płynie rurociągiem! Wystarczy zrobić w nim dziurkę z zaworem i nocami spuszczać czarne złoto wprost do beczek przebiegłych maziarzy...

Zdobyczną ropę trzeba poddać destylacji, ale dla łosian to nic trudnego. Potrzebna jest metalowa beczka, rura z fragmentem skręconym w spiralę, głęboki las i chłodny potok.

W lesie beczkę układa się na leżąco, do środka wlewa ropę i rozpala pod nią ogień. Spiralna rurka, częściowo zanurzona w strumieniu, robi za chłodnicę. W miarę jak w beczce robi się coraz goręcej, z ropy wydziela się benzyna, nafta, olej i wreszcie maź. Kiedy z rurki kapie maź, to znak, że temperatura sięga ponad 400 stopni Celsjusza.

To ekstremalnie niebezpieczne zajęcie. Zdarzają się eksplozje. Ale handel zakazanymi towarami pod nosem okupanta także grozi śmiercią.

Swoje towary łosianie wymieniają na mąkę, mięso, warzywa. Przywożą je w tych samych beczkach. To, oczywiście zakazane, więc w szpunt wsadzają rurkę wypełnioną mazią – zawsze można pokazać kontrolerowi, że jest tam tylko dozwolony smar.



Michał Jewusiak z bratem Grzegorzem nigdy nie mają żadnych problemów. Wożą maź i oliwę po okolicznych górach, czasem zapuszczają się aż za Wisłę. Jeżdżą razem aż do lat czterdziestych. Potem ich drogi się rozchodzą.

W 1945 roku Grzegorz zostaje wcielony do ochotniczego oddziału Armii Czerwonej, który formuje się w Rabce. Będzie strzelcem piechoty. Wkrótce nabawi się znaku szczerzógólnego, który powojenny urzędnik zielonym atramentem wpisze w licencję na handel.

SIWY KOŃ

Kiedy Grzegorz wraca z wojny, Łosie nie przypomina miejsca, z którego wyruszał. Jest 1947 rok. Wieś jest spustoszona. Łemków wysiedlono na zachód. Dom Grzegorza także stoi pusty – rodzice i brat wyjechali na Ukrainę.

Grzegorz jest weteranem, wolno mu zostać w Łosiu. Postanawia znów zająć się maziarstwem. Remontuje wóz, kupuje dobrego konia, zaopatruje się w maź i rusza na starą trasę brata. Dawni klienci wciąż go pamiętają.

Ale to już nie ten interes, co kiedyś.

Znikają drewniane koła, do których nadaje się łosiańska maź. Grzegorz sam wymienia je w swoim wozie – gumowe opony dużo lepiej radzą sobie na asfalcie.

Wkrótce okazuje się, że władzy ludowej przeszkadza prywatna inicjatywa, nawet taka, jaką uprawia Grzegorz. Żeby handlować smarami technicznymi i olejami, trzeba teraz mieć pieczęć i licencję. Grzegorz musi się po nią stawić w referacie handlu Powiatowej Rady Narodowej w Gorlicach i uiścić opłatę skarbową w wysokości stu osiemdziesięciu złotych.

Na dodatek nie wolno mu handlować poza województwem rzeszowskim.

Grzegorz uprawia więc w Łosiu trzy hektary pola i tylko od czasu do czasu wyprawia się z mazią. Zaprzęga konia Siwego, bierze na wóz ze dwie beczki. Nie ma go tydzień, może dwa. Nocuje u zaprzyjaźnionych górali – oni najdłużej używają lżejszych, drewnianych wozów, dobrych na nierówne, strome dukty. To dobrzy, weseli ludzie. Nieraz

Grzegorz Jewusiak z córką Anią przy wozie maziarskim, lata 60., z arch. G. Jewusiaka

Beczki na maź, z arch. MDKG



i dwa dni nie chcą go wypuścić z gościny. Niektórzy gospodarze obrażają się, jeśli do nich nie zajedzie.

Grzegorz żeni się. Teść, Dymitr Hubiak, to stary maziarz. Jeździł na Madziary i wciąż pamięta wiele słów po węgiersku.

Ale mazi potrzeba już światu coraz mniej. W Łosiu zostaje może z dziesięciu obwoźnych handlarzy. Wykruszają się jeden po drugim.

Grzegorz jeździ do lat sześćdziesiątych. Potem musi przerzucić się z mazi na mleko. Zatrudnia się w mleczarni i dopóki może, zbiera bańki po wsiach.

To nie to samo, co z mazią, ale przynajmniej wciąż jest na wozie.

ZIELONY ATRAMENT

Wsiadłby na ten wóz i dziś. Wsiadłby i pojechałby swoją starą trasą. Odwiedziłby zaprzyjaźnionych gospodarzy, przejechał przez znajome wsie. Trafiłby na pewno. Świat przecież nie mógł zmienić się aż tak bardzo. Nawet jeśli wiele rzeczy z niego zniknęło.

Koń Siwy. Wóz na gumowych kołach. I maź.

Nawet jeśli pomarli ludzie i rozpadło się wielkie imperium obwoźnego handlu, które w niedużej wsi pod Gorlicami zbudowało trzystu chłopów – imperium, które w ciągu kilkudziesięciu lat rozbłysło, zajaśniało i znikło bez śladu.

Jeśli, oczywiście, nie liczyć kilku starych beczek, dwóch wozów, paru niszczących domów i bardzo wielu zdjęć.

Oraz wypisanej zielonym atramentem licencji jednego z ostatnich łosiańskich maziarzy.

Za rozmowę, gościnę i opowieść o życiu maziarza dziękuję panu Grzegorzowi Jewusiakowi.



CERKIEW GRECKOKATOLICKA

W BARTNEM

BARTNE, MUZEUM DWORY KARWACJANÓW I GŁADYSZÓW W GORLICACH

Łemkowska cerkiew w Bartnem jest drewniana, obita i pokryta gontem. Reprezentuje typ północno-zachodni: jest orientowana, o wyraźnie zaznaczającym się w bryle układzie trójdzielnym. Składa się z sanktuarium (prezbiterium) założonego na planie kwadratu, szerszej od niego kwadratowej nawy oraz założonego na planie kwadratu przedsionka. Do sanktuarium od strony północnej przylega zakrystia, a do przedsionka zachata. Nad przedsionkiem znajduje się czworoboczna wieża o ścianach pochylonych ku środkowi. Trójdzielność cerkwi akcentują w bryle budynku kopulasty hełm wieży i łamane dachy namiotowe nawy i sanktuarium, wszystkie zwieńczone pozornymi latarniami i ozdobnymi makowiczkami.

Carskie wrota:
w medalionach scena Zwiastowania Marii oraz postacie ewangelistów, na futrynie św. Bazylii i św. Jan Złotousty

Rząd święteczny (prazdniki) przedstawiający wydarzenia z historii Jezusa i Marii, które dały początek dwunastu wielkim świętom liturgicznym. W centrum ikona Ostatniej Wieczerzy

Rząd ikon namiestnych:

1. Zaśnięcie Marii – pierwotnie była tu umieszczona ikona przedstawiająca św. Mikołaja
2. Matka Boska z Dzieciątkiem w typie Hodegetri
3. Chrystus Nauczający
4. Archanioł Michał – pierwotnie była tu umieszczona ikona patronów cerkwi świętych Kosmy i Damiana.

W zwieńczeniu: scena Ukrzyżowania Chrystusa z postaciami Matki Boskiej i św. Jana Ewangelisty

Medaliony z przedstawieniami proroków: Habakuka i Daniela, Jeremiasza i Zachariasza, Aarona i Mojżesza, Dawida i Gedeona, Salomona i Ezechiela, Izaaka i Jakuba

Grupa Deesis przedstawiająca wstawiających się u tronu Chrystusa Marię i św. Jana Chrzciciela oraz apostołów: Filipa i Bartłomieja, Andrzeja i Marka, Mateusza i Piotra, Pawła i Jana, Łukasza i Jakuba, Szymona i Tomasza



SĘKI

LITANIA ZA TYCH, CO ODESZLI Z BARTNEGO

Gdyby Wasyl Bodak, najlepszy stolarz w Bartnem, był człowiekiem skłonny do ryzykownych porównań, może powiedziałby tak: „Sęk jest jak pępek. To blizna po gałęzi, która rosła, lecz odpadła”.

Gdyby stolarz Bodak był człowiekiem bujającym w obłokach, pomyślałby: „Być może Bóg urządził to tak, że w starej cerkwi w Bartnem jest dokładnie tyle sęków, ile ludzkich dusz się tu narodzi, a potem stąd odejdzie”.

Gdyby stolarz Bodak był człowiekiem mniej poważnym, a bardziej skorym do taniej filozofii, może nawet zastanawiałby się, który z cerkiewnych sęków będzie jego.

Ale najprawdopodobniej wcale tak nie było. Wasyl Bodak, najlepszy stolarz w Bartnem, musiał być solidnym rzemieślnikiem i takie głupoty zupełnie się go nie trzymały. W temacie sęków mógłby co najwyżej powiedzieć, że drewno o dużej sękatości stanowi mniej wytrzymały budulec, ale jest pod względem wyglądu ciekawsze.

1

Greckokatolicka cerkiew świętych Kosmy i Damiana stoi w Bartnem nieopodal strumienia. W 1842 roku zrobiono ją z drewna jodeł, które rosły na stokach Magurycza, Mareszki albo Wątkowej. Pełno w niej sęków.

Pierwszy sęk niech będzie dla braci Boroszowiczów, kamieniarzy z Jasionki. Podobno to oni założyli Bartne.

Przychodzili tu do kamieniołomów. Na stokach Magurycza wydobywali gruboziarnisty piaskowiec, sywyj kamień, dobry na żarna i młyńskie kamienie. Kiedy znudziło im się chodzić „na pniaku ściętego drzewa”, wybudowali pierwszą chatę, a potem młyn. Od tej chaty i tego pnia zaczęła się wieś.

Wiemy, że w 1595 roku wieś liczyła osiemnaście zagród. W XIX wieku, wtedy, kiedy powstawała cerkiew, było ich już sto trzydzieści dwie, a wieś miała ośmiuset dziewiętnastu mieszkańców. Ale cerkiewnych sęków starczy dla wszystkich.

Jeden będzie dla Nestora Pidberezniaka, najlepszego tkacza z Bartnego.

Drugi dla cieśli Ilko Hlywa.

Trzeci dla stolarza Wasyla Pidberezniaka, który sam skonstruuje sobie tokarkę do drewna.

Będą sęki dla kuśnierzy Fečko Horbala i Michała Zawidniaka oraz dla Stefana Staranka, właściciela pierwszej maszyny do szycia. Będą dla hafciarek Paraski Dokli i Antochy Kuziak. Będzie dla Kseni Gargani, co znała zioła i potrafiła kręcić maści. Będzie dla Iwana Dutkanycza, który nastawiał złamane nogi, i dla Fečko Dziamby, który rwał zęby. Kto wie, może będą nawet sęki dla tych, co nie chodzili do cerkwi, dla żydowskich karczmarzy Chaima i Abrama? Przecież i po nich w Bartnem coś zostało. I ich także już nie ma.

Dwa sęki będą dla Andryja Kozaka i Iwana Hbura. Obaj opuścili Bartne. Byli pierwszymi, którzy wyjechali stąd za chlebem do Ameryki. Kozak wrócił. Hbur nie. W ciągu dziesięciu kolejnych lat w ich ślady poszło sto sześć osób. Wyemigrowały do USA i na Węgry.

Który sęk będzie na pewno należał do nauczyciela Iwana Bohaczuka. Nawet jeśli nie urodził się w Bartnem (tylko w Ropicy Ruskiej), tu właśnie było jego miejsce. Kiedy osiadł we wsi, wójt ogłosił, że odtąd pięćdziesięcioro dzieci z Bartnego ma obowiązek się uczyć. Szkoła była sześćioletnia. Dzieci miały w niej lekcje po polsku i po łemkowsku, od poniedziałku do soboty. W 1896 roku Iwan zbudował we wsi stację meteorologiczną. Wraz z księdzem Kałużniackim, parochem z drewnianej cerkwi, założył bractwo trzeźwości, by ratować dusze mieszkańców, które gubiły się w trzech karczmach Bartnego.

W 1914 roku austriackie władze oskarżają Iwana, księdza Kałużniackiego, Fećkę – kuśnierza, Wasyla od tokarki i trzynastu innych bartnian o moskalofilstwo i sprzyjanie ideom wielkoruskim. Wszyscy trafiają do obozu internowania w Thalerhofie.

Czterech już nie wróci. Będzie wśród nich Fećko i przez jakiś czas w Bartnem będzie o jednego kuśnierza mniej.

2

Stara drewniana cerkiew świętych Kosmy i Damiana stoi nieopodal strumienia. Dawniej woda tego potoku poruszała żarnami młyna pani Walewskiej.

Nie ma już pani Walewskiej, ani jej młyna. Być może po młynarzowej został w cerkwi jakiś sęk. Kiedy umarła, pochowano ją pod ledwie obrobionymi młyńskimi kamieniami, na cmentarzu nad tym samym potokiem, który zasilął jej młyn.

Te kamienie musiał obrobić któryś z tutejszych kamieniarzy.

Kamieniarzy było w Bartnem wielu. Z gruboziarnistego piaskowca z Magurycza robili żarna i młyńskie koła, z gładkiego kamienia z Mochnacza i Wątkowej rzeźbili krzyże z Chrystusem. Chrystusy były różne, jakby kamieniarze z Bartnego toczyli między sobą nieskończoną dysputę, jak właściwie wyglądał na krzyżu Zbawiciel.

Według jednych miał głowę przechyloną na prawo, koronę cierniową splecioną jak warkocz, wąsy, opuszczone powieki, płaski brzuch, duży, wypukły pępek i wałkowate nogi. Ale inni uważali, że wąsów nie miał, korona bardziej zaś przypominała spleciony sznur. Jeszcze inni natomiast nie dawali się przekonać i robili Go po swojemu, z delikatnie wysklepionym brzuchem, pępkiem wklęsłym i spadającymi na ramiona lokami. Albo z twarzą zwiężającą się jak odwrócona łąza.

Ale ich wszystkich także już nie ma. Zostały tylko ich krzyże. I – być może – sęki.

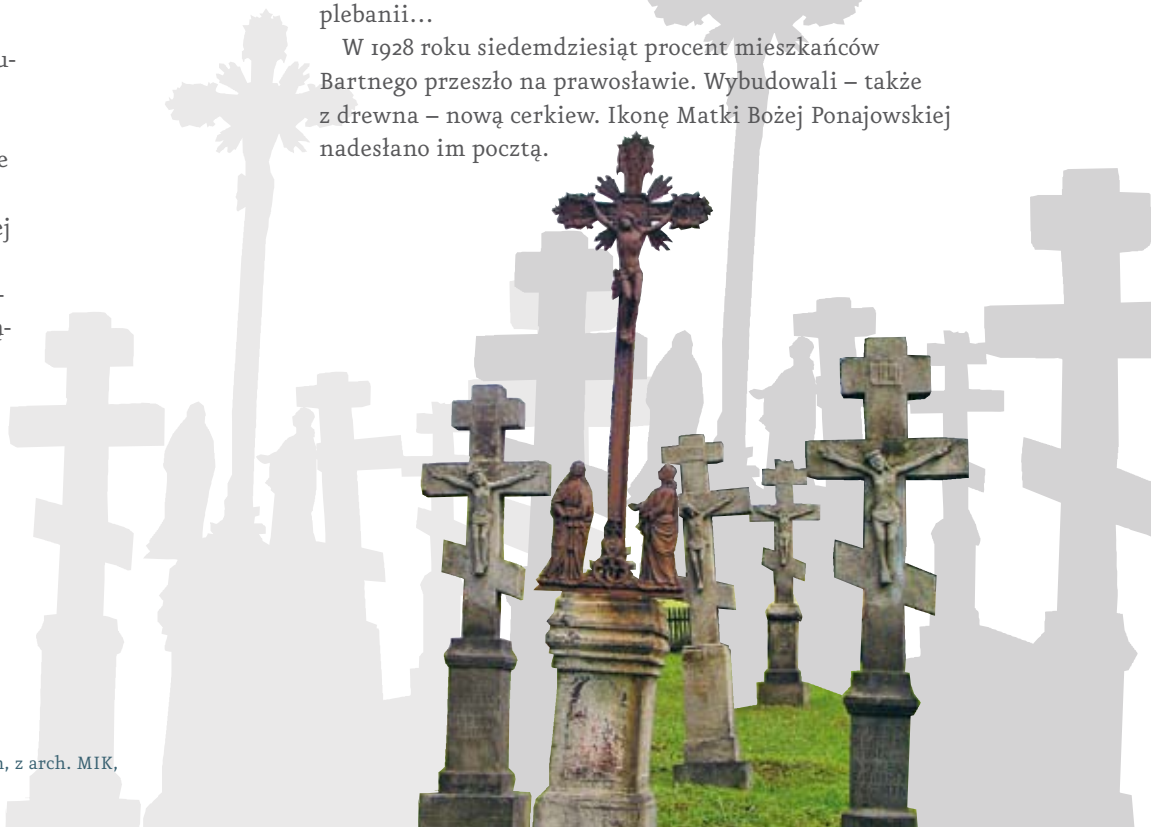
Jeden sęk będzie dla Wasyla Graconia, drugi dla Mateja Cyrkota, a trzeci dla Iwana Dutkanycza. Byli najlepszymi kamieniarzami z Bartnego.

W 1895 roku zrobili przydrożną kaplicę. Ołtarzyk był tak ciężki, że ledwie dowlókl go na miejsce zaprzęg wołów. Kiedy już stanął, przeniesiono do niego ikonę z poprzedniej, drewnianej kaplicy. Ale ikona nie chciała zostać w kamieniu. Wolała stare sęki. Co dzień ją przynoszono, a ona co noc wracała. Wreszcie ktoś uświadomił sobie, że zapomniano poświęcić nową kaplicę. Odprawiono modły. Ikona przestała uciekać.

Tym, który poświęcił kapliczkę, musiał być ksiądz Włodzimierz Kałużniacki, paroch z cerkwi świętych Kosmy i Damiana. Ksiądz Włodzimierz proboszczował w Bartnem przez prawie pół wieku. Był mądrym człowiekiem. Mówił sześcioma językami i miał dom pełen książek. Kto wie, może w ciągu tych pięćdziesięciu lat policzył nawet, ile sęków jest w cerkwi w Bartnem?

Raczej nie. Ksiądz Kałużniacki był poważnym, dobrze wykształconym człowiekiem i takie bzdury jak liczenie sęków na pewno się go nie trzymały. Zabronił też głosić ukraińskich poglądów w świątyni. Został za to zdjęty ze stanowiska i wyrzucony z domu. Nie opuścił Bartnego. Do śmierci w latach trzydziestych tułał się po wsi w ubóstwie, a jego książki gniły w błocie i schły w pyłe pod schodami plebanii...

W 1928 roku siedemdziesiąt procent mieszkańców Bartnego przeszło na prawosławie. Wybudowali – także z drewna – nową cerkiew. Ikonę Matki Bożej Ponajowskiej nadesłano im pocztą.



3

Wojna pojawiła się we wsi siódmego listopada. Konny oddział Niemców przedefilował przez wieś. Wkrótce potem z Bartnego zabrano na roboty sześćdziesięciu młodych ludzi. Pracowali w Rzeszowie i Muszynie za sto papierosów dziennie i wyżywienie.

Los dalej zabierał stąd mieszkańców – jednego po drugim – jak wiatr, co łamie suche gałęzie.

Przed wojną jest w Bartnem sto siedemdziesiąt sześć numerów. Wkrótce nie zostanie w nich nikt.

Michał Fesz zginął w kampanii wrześniowej. Andryj Decio i Ilko Fesz poszli za Andresem do Anglii. Czternaście osób trafiło do Wojska Polskiego, trzydzieści osiem – do Czerwonej Armii.

26 października 1945 roku od polskich kul zginie Nestor Pidbereznia, tkacz tak dobry, że wychodzi mu nawet kolorowe płótno. Wojsko Polskie strzela się z oddziałem UPA koło jego chaty. Potem żołnierze AK po prostu wchodzi i zabijają go serią z karabinu. Ksiądz Iwan Bułat, nowy paroch ze starej cerkwi greckokatolickiej, przyjaciel Nestora, jest tak załamany, że nie może odprawić pogrzebu. Zastępuje go proboszcz prawosławny. Ksiądz Iwan idzie w pochodzie i płacze całą drogę.

Wkrótce we wsi zjawiają się agitatorzy. Namawiają ludzi do wyjazdu. Obiecuja ziemię, nowe domy, złote góry. Kiedy obietnice nie skutkują, strzelają po ścianach i krzyżach na cmentarzu.

Z Bartnego wyjeżdża połowa mieszkańców.

Ci, którzy nie dali się omamić ani zastraszyć, też nie zostaną tu już długo.

W majową niedzielę 1947 roku pojawia się wojsko. Nikt nie wie po co. Ale żołnierze – młode chłopaki – wygadują się dziewczynom: to się nazywa akcja „Wiśła”, będziemy was wysiedlać.

I tak się dzieje. Dawni mieszkańcy Bartnego zostaną wywiezieni w okolice Wrocławia, Olsztyna i Gdańska. Dwudziestu sześciu trafi do obozu w Jaworznie.

Zostanie po nich stara drewniana cerkiew z sękatego drzewa. Przed wyjazdem ktoś jeszcze zdąży zabić jej okna.

4

Cerkiew nie miała fundamentów. Kiedy wznoszono ją w 1842 roku, postawiono ją ot tak, na kamieniach. Pozostawiona sama zgarbiła się i pochyliła. Mało brakowało, a runęłaby.

Na szczęście po 1956 roku Łemkowie zaczęli do Bartnego wracać. Niektórzy musieli odkupić od nowych osadników swoje stare domy i pola.

W latach sześćdziesiątych zrobili remont starej cerkwi. Człowiek, który się tym zajmował, podparł dach na stu trzydziestu stemplach i rozebrał ściany. Starannie sprawdził, w jakim stanie są belki. Odrzucił mniej niż połowę. Na ich miejsce przywiózł z Bieszczad grube, jodłowe pnie. Zdjął blachę i wymienił gonty na dachu. Zadał, żeby deszczułki były szczypane ręcznie, nie cięte maszyną. To ważne. Siekierka rozszczepia drewno, omijając sęki. Maszyna przecina je na pół. Przez przerżnięty sęk do wnętrza dostaje się deszcz, drewno nasiąka wodą, gnije i paczy się.

Niszczęje.

Z czasem stara sękata greckokatolicka cerkiew pod wezwaniem świętych Kosmy i Damiana zostanie muzeum. Będą ją badać specjaliści od architektury drewnianej.

Żaden z nich na pewno nie będzie liczył sęków.

W tym temacie będą mogli co najwyżej powiedzieć, że drewno o dużej sękatości stanowi budulec gorszy, bo mniej wytrzymały, ale bywa cenione w zdobnictwie.

Jest to drewno wizualnie ciekawsze.

Takie z duszą.

Za pomoc w przygotowaniu tekstu dziękuję panu Józefowi Madzikowi.



ZAGRODA FELICJI CURYŁOWEJ W ZALIPIU ZALIPIE, MUZEUM OKRĘGOWE W TARNOWIE

Malowanki Powiśla Dąbrowskiego odkrył dla miłośników sztuki ludowej Władysław Hickel. O okolicznościach tego wydarzenia pisał: „Przypadek zrządził, że nad łóżkiem służącego, pochodzącego z powiatu dąbrowskiego, zobaczyłem dwa arkusze zwykłego papieru, na którym farbą używaną do malowania ścian wykonane były bukiety, stylowo podobne do napotkanych na skrzyniach chłopskich. Zaciekawiony odkryciem, zwiedziłem tę część Powiśla i przekonałem się, że zbieg okoliczności pozwolił mi na odkrycie odrębnego i nieznanego środowiska sztuki ludowej”.

W. Hickel, *Malowanki ludowe w powiślu Dąbrowskim*

Gdy na Zachodzie powstał nowy styl, tak zwany modernizm dzisiejszy, u nas Witkiewicz zwrócił uwagę społeczeństwa na twórczość ludu Podhala, zapoczątkował nową erę w sztuce polskiej. Zrozumiano, że sztuka ludowa, pełna pierwiastka rodzinnego, jest nieodłączną częścią sztuki polskiej [...] Z zapalem prawdziwych artystów i gorączkowością ludzi szukających nowych dróg rzucono się do zbierania ginącego materiału z zakresu sztuki ludowej na całym obszarze polskim.

Malują już to na papierze, już to wprost na ścianie, przyozdabiając co tylko jest w izbie, a więc powałę, kredens, okna, okiennicę (deszczutka do przykrywania otwory w piecu piekarskim), „kaflowiec”, (piec ogrzewany ciepłem z pod kuchni angielskiej), a nawet talerze, choć te w razie użycia, muszą być z farby obmyte.



Jedna z malowanek zebranych przez W. Hickla na Powiślu Dąbrowskim. M. Karaczkowa, wieś Ćwików, pocz. XX w., ze zbiorów MEK

KALENDARIUM

Początek lat 30. XX w. W południowej części wsi Zalipie, w przysiółku Nowiny, Felicja Curyłowa wraz z mężem Ludwikiem postanawiają wybudować zagrodę. Postawią chałupę, oborę i stodołę. Budynki będą drewniane i podobne do innych wiejskich zabudowań z okolicznych terenów. Staną się słynne dzięki malowanym dekoracjom, którymi Felicja będzie ozdabiać je na kolejne konkursy „Malowana Chata” organizowane od 1948 r. Dekorowanie domów malowanekami znane było na Powiślu już wcześniej, o czym świadczy relacja Hickla z 1905 r., ale to właśnie zagrodę Curyłowej będą odwiedzać liczni przyjezdni, jeszcze za życia właścicielki stanie się rodzajem muzeum zalipiańskiej sztuki dekoracyjnej.

1974 Umiera Felicja Curyłowa, jej domem będzie się opiekować rodzina. Po śmierci Felicji malowane ściany domu będą odnawiać wpraw jej synowa Maria Wojtyto, a potem wnuczka Wanda Racia.

2. poł. lat 70. Rodzina Curyłowej sprzedaje zagrodę Cepelii, a następnie, za pośrednictwem Urzędu Wojewódzkiego w Tarnowie, zostaje ona przekazana pod opiekę Muzeum Okręgowemu w Tarnowie z przeznaczeniem na muzeum.

2006 Obora zostaje zaadaptowana na warsztat malarski.

2008 Remont zabudowań gospodarczych (wymiana pokryć dachowych)

Farbę kupują dziewczęta w Dąbrowie albo w Tarnowie w proszku, który mieszają z mlekiem lub pokostem, a zamiast pędzla używają zazwyczaj brzoźowego patyka namoczonego i rozstrzępionego młotkiem na jednym końcu. Pędzel taki jest oczywiście bardzo nieudolnym narzędziem; tem dziwniejsza, że niejedna z wielką zręcznością potrafi nim władać. Farba rozrobiona w odpowiedniej ilości mleka da się dobrze użyć i nie kruszy się zbyt.

Malarstwo to dowodzi, że w ludzie drzemie wielki zasób niewyżywanego talentu i poczucia słonecznej barwności. [...] W kompozycjach dwubarwnych uzupełniany jest kolor zielony czerwonym, fioletowy żółtym. [...] Malowidła te dalekie są od naturalizmu. Lud obserwuje kwiat, liść, anatomię rośliny, lecz nie stara się nigdy przenieść tego żywca na papier, a stylizuje wszystko w tysiącnych odmianach tak pod względem formy, jak i barwy. Między niezliczoną ilością stylizowanych kwiatów trudno napotkać dwa jednakowe.

Wszystkie cyt. z: W. Hickel, *Malowanki ludowe w powiślu Dąbrowskim*, „Lud. Organ Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie” 1906, R. 12, z. 1

TESTAMENT SZTUKMISTRZYNI

**O GORSECIE, KTÓRY UNIKNAŁ POGRZEBU, SUFICIE, OKUPIONYM LANIEM, MALOWANYM BATORYM, ŻYCIU, ZAMIE-
NIONYM W LEGENDĘ I INNYCH KWIATKACH Z ZAGRODY
FELICJI CURYŁOWEJ W ZALIPIU**

Swój pogrzeb Felicja zaplanowała starannie.

Przed wszystkim chciała, żeby leżała na niej sztuka – ta sztuka, która przyniosła jej absolutną władzę we wsi, zaszczyty w kraju oraz miejsce w annałach etnografii. Musiała wymyślić to już wiele lat wcześniej, w czasach, kiedy jeździła do Włocławka projektować fajanse. Kilka ceramicznych płytek z kwiatami zrobiła wtedy przy okazji, nikomu nie mówiąc, że zamierza wmurować je w swój grób.

Potem wystawiła kamienny grobowiec i wieś, która na wieczny odpoczynek kładła się w ziemi, oniemiała. Kto się nie bał, śmiał się, że Felicja chce leżeć w bunkrze. Ale tak naprawdę niewielu we wsi miało odwagę śmiać się z Felicji.

A ona planowała dalej.

Podzieliła majątek. Namaściła następczynię. Sfotografowała się na porcelanie. Wyzaczyła, gdzie wystawić trumnę. Wreszcie zajęła się dobieraniem garderoby.

Wszyscy byli pewni, że Felicja każe ubrać się do trumny w strój ludowy: w spódnicę i własnoręcznie haftowany gorset, w który wpięła krzyże zasługi srebrny i złoty... Ale Felicja miała inny plan. Postanowiła spoczywać po cywilnemu.

Kazała ubrać się w jedwab: fioletową suknię, białą bluzkę, pończochy. Kazała po śmierci ufarbować sobie włosy i nałożyć makijaż. Głowę – jak przystało mężatce – okryć wiejską chustką.

A swój strój ludowy Felicja Curyłowa, malarka kwiatów, legenda Zalipia, pierwsza dama polskiej sztuki ludowej, kazała włożyć do szklanej gablotki.

Wiedziała, że przyjedziecie go zobaczyć.

NARODZINY LEGENDY

Felicja Curyłowa już za życia obrosła mitem.

Była najbardziej znaną z zalipiańskich malarek. Niektórzy wierzyli, że to ona jako pierwsza pomalowała zagrodę w kwiatki. Do jej domu zjeżdżały wycieczki, etnografowie i PRL-owscy dygnitarze. Kobietami z Zalipia dowodziła jak wojskiem. To ona decydowała, kto zasłużył na start w dorocznym konkursie na malowaną chatę. Co roku zgarniała pierwszą nagrodę.

Właściwie nie wiadomo, jak do tego doszło. Żywot Felicji pełen jest tajemnic. Trudno powiedzieć, co jest w nim prawdą, a co mitem. Pewne jest tylko jedno: Felicja Curyłowa była legendą i bardzo dobrze zdawała sobie z tego sprawę.

Podobno miała dziesięć lat, kiedy w jej życiu pojawiła się sztuka. Rodzice akurat pojechali końmi na targ do Tarnowa. Felicja przeciągnęła do sieni stół, postawiła na nim taboret, wdrapała się na górę i pomalowała sufit wapnem i sadzą. W kwiatki.

Podobno ojciec Felicji zupełnie się na tej sztuce nie poznał. Po powrocie złożył córce skórę.

Podobno Felicja, która już wówczas miała niezwykle silną osobowość, postanowiła, że w takim razie będzie tych kwiatków malować jak najwięcej.

Zdobienie ścian i sufitów nie było w Zalipiu niczym dziwnym. W dawnych czasach w kurnych chatach dym z paleniska snuł się po izbie i osiadał mroczną sadzą. Kobiety ze wsi brały postrzępione na końcu brzozy patyki, stemple z ziemniaka, wiadra z wapnem i – żeby było jaśniej – robiły na czarnym tle białe, okrągłe packi. Wychodziły im nieco nieformiste kółka z dziurką, które



Felicja Curyłowa, z arch. MEK,
fot. R. Reinfuss

przypominały kwiatki. Dla większego podobieństwa domalowywały im patyki i oguny.

Z czasem piece zmieniły się. Te nowocześniejsze miały komin, który odprowadzał dym. Sadza nie czerniała już ścian, ale gospodynie z Zalipia i okolic z przyzwyczajenia wciąż malowały kwiaty: białe wapnem, czarne sadzą, brązowe – miejscową gliną.

Właśnie na ten moment trafił urzędnik Władysław Hickel, odkrywca Zalipia.

Hickel odkrył Zalipie w służbówce swojego krakowskiego mieszkania. Mieszkał tam chłopak ze wsi. To u niego Hickel po raz pierwszy zobaczył dywan – przywieszony nad łóżkiem kawałek kartonu, pomalowany w kwiaty. Był 1905 rok. Lucjan Rydel ożenił się już z chłopką Mikołajczykówną i wszystko, co ludowe, było ekstremalnie modne. Hickel nie mógł nie zainteresować się kwiatkami na kartonie. Tropem dywanu trafił do Zalipia.

Wkrótce ogłosił drukiem, że odkrył na Powiślu Dąbrowskim nieznaną ośrodek sztuki ludowej. Opisał malowane ściany, kredensy, talerze, okna i okiennice. Wymienił z nazwiska kilka malarek. Jedną z nich była Curyłówna.

Sęk w tym, że pisał o innej Curyłównie, być może Johan- nie (tej, której malowanki przechowywane są w muzeum w Krakowie). Felicja, jeśli w ogóle coś już wówczas malowała, nie wyszła poza fazę bazgrołu dziecięcego. W 1905 roku miała dwa lata. I wcale nie nazywała się jeszcze Curyłowa.

Malarki z Zalipia przy pracy
(na pierwszym planie Felicja Curyłowa),
z arch. W. Raci



CZTERDZIEŚCI I CZTERY

Hickel prawdopodobnie nie zajął wtedy do tej chaty. Cieśla Wojtyto, ojciec Felicji, zarabiał dość, żeby postawić duży dom, z wysokimi drzwiami, w których nie trzeba było się schylać. Tak przynajmniej opowiadała Felicja. W tamtych czasach dziewczyny z tak bogatych domów nie zajmowały się malowaniem kwiatów.

O młodości Felicji nie wiemy nic poza tym, co chciała, żebyśmy wiedzieli. Skończyła cztery klasy. Jako dziesięciolatka pomalowała sufit. Jako nastolatka malowała dywany. Jako szesnastolatka na cześć Cudu nad Wisłą ułożyła z łusek szyszek orła w koronie. (Ten orzeł będzie już na zawsze wisiał u niej w chacie i drażnił PRL-owskich dygnitarzy. Na sugestie, by zdjąć mu koronę, Felicja będzie odpowiadać, że zrobi to jutro).

Później Felicja na jakiś czas znika. Nie wiadomo, co się z nią dzieje. Ponoć mieszka przez kilka lat w Krakowie. Być może ściąga ją tam Tadeusz Seweryn, malarz, a w przyszłości dyrektor Muzeum Etnograficznego. Seweryn pochodzi z Żabna (jego ojciec, dziadek i brat są tam burmistrzami) i bardzo interesuje się Zalipiem. Kupuje od Felicji dywany i hafty, w 1939 roku zleci jej, Rozalii Zaród i Marii Janeczek pomalowanie muzealnej izby.

Potem wychodzi za męża. Ludwik Curyło to spokojny, dobrotliwy człowiek. Jego największą przyjemnością jest zaprząć konie i pojechać na targ. Żona dominuje nad nim zupełnie. On prowadzi gospodarstwo, ona maluje. Jeszcze przed wojną stawiają w Zalipiu dom, który Felicja w całości pokryje kwiatami.

Na scenę wraca po wojnie, dopiero w 1948 roku. Z hukiem. W tym roku Ministerstwo Kultury i Sztuki organizuje w Zalipiu pierwszy konkurs: czterdzieści uczestników dostaje po trzy arkusze białego papieru i mogą namalować,



co chcą. Wśród laureatek pierwszego miejsca jest Felicja Curyłowa. Odtąd już nigdy nie zejdzie z podium. Ma czterdzieści cztery lata i właśnie zaczyna stawać się legendą.

KWIECIE ZALEWA KRAJ

W latach pięćdziesiątych Polska Ludowa oszalała na punkcie Zalipia. Kwiaty są wszędzie. Robią zawrotną karierę.

Instytut Wzornictwa Przemysłowego zaprasza do siebie zalipianki. Dyrektorka, Wanda Telakowska, szuka sposobu na ożywienie polskiego dizajnu: chce, żeby artyści ludowi współpracowali z zawodowymi plastykami. Kobiety z Zalipia tworzą kolektyw projektancki i wymyślają wzory na chustki oraz tkaniny odzieżowe. Telakowska poleca je do Fabryki Fajansu we Włocławku. Niestety szybko okazuje się, że zalipianki nie mają doświadczenia z ceramiką. Ich kwiatki blakną i zmieniają kolor. Nigdy nie wejdą do sprzedaży.

Mnożą się za to zamówienia na polichromie. Kobiety z Zalipia malują sufity w restauracjach i ściany pawilonu roślin przemysłowych na wystawie z okazji 10-lecia Polski Ludowej w Lublinie, pokrywają girlandami stropy Desy i Cepelii. Wreszcie – jadą na Wybrzeże. Luksusowy transatlantyk „Batory” czeka w porcie aż udekorują bawialnię dziecięcą.

Są zazdrosne o swój kunszt – zwłaszcza Felicja. Kobiety z innych powiatów wsi, które także malują bukiety na ścianach domów, traktuje jak rywalki. Zalipie to Zalipie – uważa – i tylko zalipianki mają prawo do swoich kwiatków. Kiedy zawodowi plastycy zdobią podobnymi wzorami stropy Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie, malarki obrażają się. Piszą do ministra kultury z pretensjami i ofertą: namalują to jeszcze raz i lepiej.



Felicja Curyłowa i etnograf Zdzisław Szewczyk (MEK), z arch. W. Raci

Malarki z Zalipia, m.in. Maria Wojtyto, Felicja Kosiniakowa i Felicja Curyłowa, z arch. W. Raci

Felicja jest wszędzie. W IWP projektuje wściekle różową tkaninę w rozmazane, jasnozielone kwiaty. We Włocławku maluje bukiety na ceramice i kaflach. Część płytek zabiera do domu. Ma zamiar wmurować je w swój grób. Profesor Reinfuss, etnograf badający Zalipie, pyta, skąd przyszło jej to do głowy. – Chciałam przecie, żeby ta sztuka na człowieku jeszcze po śmierci leżała – odpowiada mu Felicja.

To ona organizuje wyjazdy zalipianek. Sama rozstrzyga, kto pojedzie. Od jej decyzji nie ma odwołań. Zakłada w Zalipiu „Wieś Tworzącą” – stowarzyszenie, które wprowadzić nie jest zarejestrowane, ale ma pieczęć i prezeskę w osobie Felicji. Wprowadza żelazną dyscyplinę. Pod jej okiem maluje się całymi dniami, w ludowych strojach. Często nie wraca się na noc do hotelu, śpi się na przywleczonym materacu, je szybko i na sucho.

Dzięki temu zawsze zdążają na czas. Zawodowemu plastykowi, który wraz z zalipiankami dekoruje Batorego, to się nie udaje. W miejscu, gdzie miał namalować fortepian, trzeba zawiesić płachtę. Batory idzie w morze z tą płachtą i pięknymi, kompletnymi kwiatkami zalipianek.

NIE WIDZIMY, CO MALUJEMY

O swoją wieś Felicja walczy bez pardonu, z pełnym poświęceniem. Kiedy Zalipie ma odwiedzić minister kultury, każe mężowi wyjechać po niego starym, rozchwianym wozem. – Ludwiku, niech on sobie nasze drogi na zawsze zapamięta – poleca. Minister dociera całkiem ubłocony, przemoczony i poobijany. Felicja czyści mu garnitur, przeprosza i za jakiś czas Zalipie ma już nową, porządną drogę.



Izba w domu siostr Janeczek. Zalipie-Kozubiec, z arch. MEK, fot. S. Deptuszewski, 1948

O tym, jak załatwia prąd, krążą aż dwie legendy. Jedni opowiadają, że Felicja jedzie na zjazd partii do Szczecina i zabiera z sobą lampę naftową, pomalowaną w kwiaty. – Jest nam ciemno – ogłasza Cyrankiewiczowi. – Nie widzimy, co malujemy. Nie zejść z mównicy, dopóki towarzyszy sekretarz nie przyrzeknie nam prądu.

Inni twierdzą, że Felicja wpada do gabinetu Cyrankiewicza i szeptu mu to samo do ucha, mocno ściskając ramię, a drogę ucieczki odcinają sekretarzowi inne malarki. Jakkolwiek było, pierwsza żarówka zapala się w Zaliptu trzy miesiące później. Okoliczne wsie nie będą zelektryfikowane przez najbliższe dziesięć lat.

Dzięki Felicji Zaliptu ma prąd, drogę, pocztę, sklep, szkołę, Dom Malarek i doroczny konkurs na malowaną chatę. Konkurs, w którym Felicja zawsze musi zajmować jedno z pierwszych miejsc (pierwszych miejsc jest w Zaliptu zawsze co najmniej kilkanaście). Bardzo przeżywa jakiegokolwiek niepowodzenie.

Jest legendą. Nie krytykuje się legendy.

W latach sześćdziesiątych w zagrodzie Felicji nie da się już żyć. To żywe muzeum: wycieczki oglądają ściany, sufit i domowników. Młodsze pokolenie nie wytrzyma tego. Buduje dom po drugiej stronie drogi.

Felicja zostaje w starej zagrodzie. Ona wycieczki uwielbia. Śpi w swojej malowanej chacie, oprowadza po niej turystów i etnografów, a na obiady chodzi do dzieci. Sama nie ma cierpliwości do gotowania, ledwie usmaży sobie jajecznicę. Zresztą z malowanych zwykłymi farbami talerzy nie da się jeść. Profesor Reinfuss żartuje: „Dostałem rosół na pomalowanym, zjadłem i już nie było pomalowane”.

Kiedy rodzi się jej wnuczka, Felicja postanawia, że uczyni ją spadkobierczynią swojego dzieła. – Gdzie lecis? Siadaj i maluj – mówi odtąd, kiedy Wandzia chce iść się bawić.

Jest coraz bardziej świadoma, że jest legendą Zaliptu i pierwszą damą polskiej sztuki ludowej. Wkrótce dostaje dwa krzyże zasługi. Wpina je we własnoręcznie uszyty i wyhaftowany gorset, w którym zawsze jeździ na konkursy, wystawy i zjazdy.

Motywy zdobnicze pochodzą z malowanek zebranych na pocz. XX w. przez W. Hickla na Powiślu Dąbrowskim. Dziś w zbiorach MEK

TAKI PIĘKNY POGRZEB

Kiedy choroba przykuwa ją do łóżka, Felicja leży, maluje talerze i starannie planuje, jak ma być po jej śmierci. Przygotowywała się do tego od kilkunastu lat. Na zaliptiańskim cmentarzu czeka już na nią murowany grób z kaflami ze sztuką. Zanim pod nią spocznie, musi jeszcze załatwić kilka spraw.

Dom – decyduje – dostanie wnuk Stefan. Może go sprzedać i urządzić się, jak chce. Dzieło malowania kwiatów przekaze Wandzi. Ona sama spocznie w jedwabnej fioletowej sukience, białej bluzce i pończochach. A strój ludowy, z krzyżami zasługi, stanie w szklanej gablocie.

Felicja Curyłowa, najbardziej znana malarka z Zaliptu, legenda i pierwsza dama polskiej sztuki ludowej umiera w 1974 roku. Ma piękny pogrzeb. Kilka lat później jej malowany dom kupuje Cepelia (wnuk Stefan wyjeżdża do Ameryki). Cepelia nieodpłatnie przekazuje zagrodę Muzeum Okręgowemu w Tarnowie. Powstaje tam ekspozycja, na której można zobaczyć kwiaty, odnowione przez Wandę i talerze, malowane przez Felicję. I gorset z krzyżami.

A o Felicji opowiada się legendy.

Czyli wszystko jest tak, jak sobie zaplanowała.

Bardzo dziękuję pani Teresie Komornickiej-Rościszewskiej za podzielenie się ze mną swoją wiedzą o Zaliptu i pani Wandzie Raci za wspomnienie o babci Felicji.

Felicja Curyłowa, Maria Wojtyto i mała Wanda w Krakowie na targach, z arch. W. Raci



DWÓR W DOŁĘDZE DOŁĘGA, MUZEUM OKRĘGOWE W TARNOWIE

Dwór modrzewiowy o pobielonych z zewnątrz i wewnątrz ścianach i wysokim, krytym gontem dachu. Od frontu ganek wsparty na dwóch filarach, przed nim kolisty gazon.

Układ pomieszczeń ma plan podkowy. Trakt główny mieści część reprezentacyjną. Są to:

Salon, warto tu zwrócić uwagę na portrety pierwszych właścicieli dworu: Marii i Aleksandra Günterów, zgromadzone na etażerze fotografie rodzinne kolejnych pokoleń mieszkańców dworu oraz serwantkę z pamiątkami po powstaniu styczniowym.

Jadalnia, a w niej m.in.: stół, przy którym po jego rozłożeniu mogły usiąść 24 osoby, kredens z porcelaną miśnieńską oraz stolik, tzw. pomocnik, a na nim samowar ze znanej wytwórni w Tule i mosiężny ekspres do kawy

Gabinet, warto przyjrzeć się pamiątkom po powstaniu styczniowym, umundurowaniu z okresu międzywojennego, obrazowi Jana Lorenowicza ukazującemu scenę rozgrywaną się podczas rabacji chłopskiej, niciakowi, czyli stoliczkowi do robótek ręcznych czy rozkładanemu lasko-stołecz-kowi, który Franciszek Wolski mógł zabierać dla wygody na polowania.

Skrzydła stanowiły prywatną przestrzeń gospodarzy. W części wschodniej znajdowały się sypialnie, a w zachodniej – kuchnia i spiżarnia. Dziś w skrzydle wschodnim mieszczą się:

Pokój, w którym zgromadzono meble i pamiątki z krakowskiego mieszkania prof. Michała Siedleckiego, męża Ireny z Wolskich (siostry Jadwigi z Wolskich Tumidajskiej). Warto przyjrzeć się kolekcji eksponatów przywiezionych przez tego wybitnego biologa z wypraw na Daleki Wschód oraz przedmiotom związanym z polarnymi wyprawami jego syna, geologa i polarnika, prof. Stanisława Siedleckiego. Na ścianie wiszą dwa portrety namalowane przez Stanisława Wyspiańskiego.

Sypialnia, warto tu zwrócić uwagę na secesyjne meble, oraz neogotycki parawan, za którym urządzono kącik do mycia.

Opracowanie: K. Pachla-Wojciechowska

Dwór w Dołędzie, z arch. MÓT

KALENDARIUM

22 VI 1820 Na licytacji dóbr kościelnych wieś Dołęgę kupuje za 15 960 florenów Julian Pikuziński. Wkrótce rozpocznie budowę pierwszego dworu.

1846 Podczas rabacji chłopskiej zostaje zabity syn Juliana i Justyny z Bratkowskich, Teofil. Tragiczne wydarzenia tego czasu zapisuje w pamiętniku jego siostra, Marianna.

20 IV 1847 Marianna poślubia Aleksandra Günthera. Młoda para przeprowadzi się rok później do nowo zbudowanego dworu, tego, który przetrwał w Dołędzie do dziś.

W czasie powstania styczniowego dwór jest miejscem schronienia dla powstańców oddziałów. Być może gościł tu dyktator powstania, gen. Marian Langiewicz, oraz gen. Zygmunt Padlewski, z pewnością Ignacy Maciejowski i major Mieczysław Szameit, pod dowództwem którego wyrusza stąd w bój szwadron kawalerii.

XIX/XX w. W dworze bywają Adam Asnyk, Kazimierz i Włodzimierz Tetmajerowie, Lucjan Rydel, Stanisław Przybyszewski oraz Stanisław Wyspiański. Goszczą ich córka Marianny i Aleksandra Maria wraz z mężem Ignacym Maciejowskim, znanym również pod literackim pseudonimem „Sewer”.

V 1944 We dworze zatrzymuje się dr Józef Hieronim Retinger. Przebywa on na terenie okupowanej Polski z tajną misją.

1969 Dwór oraz otaczający go park i stojąca nieopodal kapliczka zostają wpisane do rejestru zabytków.

1975 Ostatnia właścicielka dworu, Jadwiga z Wolskich Tumidajska, przekazuje dwór wraz z parkiem państwu polskiemu, „aby dworek ten przedłużył tradycję życia kulturalnego i patriotycznego oraz Powstania 1863 r. [...]”. Budynek wymaga remontu, który trwać będzie 6 lat.

IX 1981 Dwór zostaje uroczystie otwarty jako oddział Muzeum Okręgowego w Tarnowie.



PAMIĘTNICZEK Z LOTU W PRZEPAŚĆ O UCIAŻLIWYCH ADMIRATORACH, NIEUDANEJ REWOLUCJI, ZBUNTOWANYCH CHŁOPACH, KRWAWEJ RZEZI I INNYCH NIESZCZĘŚCIACH, KTÓRE PRZYDARZYŁY SIĘ SIEDEMNA- STOLETNIJ MARIANNIE P. Z DWORU W DOŁĘDZE

Oczywiście nigdy nie było żadnej wierzby. To znaczy może i była. Jakaś wierzba musiała rosnąć przy drodze na Brzesko albo nad Uszwią. Ale na pewno nikt nikogo nie przerznął w niej piłą. – To zupełnie bez sensu. Czy państwo wiedzą, jak trudno piłą ściąć drzewo? Nawet bez człowieka w środku? – pyta Władysław Konieczny, kustosz muzeum w Dołędzie.

Ale, jeśli chcemy, możemy sobie poszukać w parku jakiegoś pniaka. Możemy usiąść na nim i wyobrazić sobie, jak w nocy z 18 na 19 lutego 1846 roku z dworu wybiega dziedzic Teofil (wysoki, z rudawą brodą), jak pędzi przez pola i chroni się w dziupli. Możemy wyobrazić sobie horde chłopów z cepami i kosami (oraz z piłą, koniecznie z piłą!), którzy szukają go, a kiedy znajdują, pracowicie piłują pień.

Możemy też wziąć do ręki pamiętniczek siostry Teofila Pikuzińskiego i poczytać, jak było naprawdę. Choć akurat o wierzbie nie będzie tam ani słowa.

MARIANNA CIERPI W MILCZENIU

We wrześniu 1845 roku Mariannie najlepiej pisze się w ogrodzie. Kuzyn zrobił jej stoliczek z brzozy. Siedemnastoletnia szlachcianka z Dołegi może tam spisywać swe sekrety, a gdy tylko ktoś się zbliża – myk! – chować zeszyt w pustym ulu.

Na weselu (poszła w różowej sukience, ponoć ładnie jej było i tańczyła bez zmęczenia, jakby płynęła, leciała) prześladował ją Mikołaj. Marianna nie lubi Mikołaja. Jest żółty

i czerwony, a Marianna wolałaby bruneta z oczyma jak węgle. Co to za męka rozmawiać z mężczyzną, który chce się oświadczyć! Zresztą kuzynek, który zbudował stolik, też zanadto wodzi oczyma. Mariannie go żal. Biedne chłopaczysko, Marianna nie ma dla niego żadnej sympatii!

15 listopada – tragedia. Przyjechał człowiek z oświadczeniami od Mikołaja! Mama bardzo zadowolona, Marianna w rozpacz, ale może Bóg wybawi ją jakim sposobem...

30 listopada – Marianna desperuje. Chyba przeznaczonym jej szczęśliwą nie być! Mikołaj już niemal pewny, mama go uwielbia. Marianna szuka zalet (dobry człowiek, dobry Polak, ponoć ładnie maluje), ale w sercu jej ciężko.

18 grudnia Marianna nie wie, co robić. Teofil odgadł jej rozterki i odradzał małżeństwo, na to nadeszła mama, zagniewała się... Wieczorem przyjechał Mikołaj. On też coś wyczuł. Odjechał smutny. Żal go Mariannie, lecz i ona przecież pożałowania jest godna...

TEOFIL WPATRUJE SIĘ W OBRAZ I NIE TYLKO

Teofil jest od Marianny starszy o dziesięć lat. Mieszka w Dołędzie z żoną Anusią i czwórką dzieci. Średnio mu się wiedzie. Zalewają go wody, dopadają nieurodzaje.

Ale Teofil ma i inne zgryzoty. Myśli o Polsce.

W pokoju wiesza obrazek z powstania listopadowego. Wpatruje się w niego całymi dniami. Na wpatrywaniu się nie kończy. Teofil jeździ do sąsiednich dworów, zamyka się z dziedzicami w gabinetach i radzą coś sekretnie... Później daje siostrze do ukrycia plik tajnych papierów.

Teofil jest jednak nieostrożny. Chce zwerbować do powstania chłopów, lecz pochopnie szuka sojuszników.

W dworze w Dołędzie bywa dwudziestoletni krawiec Jędrzek Gadomski. Teofil prosi go o strzyżenie i zagaduje. Czy słyszał Jędrzej o rewolucji? Nie? Kupy ludzi pójdą na Bochnię, wróci Polska, podatki się zmniejszą, sól stanieje, każdy dostanie po pięć mórg ziemi... Nie przyłączyłby się Jędrzek do sprawy? Boi się? Głupi! On, Teofil, jest przecie panem, ma z czego żyć, ma żonę i dzieci, a się nie boi i pójdzie. Prosi tylko Jędrzeja, żeby nikomu nie opowiadał...

Jędrzej jednak zaraz mówi o wszystkim stryjkowi i teściowej. Stryjek i teściowa są zdania, że jeśli panowie

Jan Lorenowicz, *Rabacja chłopska*, Muzeum w Dołędzie,
z arch. MOT, fot. D. Kobylański

W tle: wierzba rosnąca nieopodal dworu w Dołędzie,
fot. W. Konieczny

porwą się na takie jak Austria mocarstwo, napytają sobie biedy. Niech lepiej Jędrus szybko odbierze od Pikuzińskiego czterdzieści osiem florenów za robotę...

Krawiec wraca do Dołęgi, prosi o pieniądze, a pan Teofil znów zaczyna: nie bój się, Jędrus, przystań do nas, damy ci prostą kosę na drążku, jednej nocy w Galicji zabijemy wszystkich Niemców. Namawia go przez dwie godziny. Jędrus nie ma wyjścia. Przyrzeka, że przystanie do spisku. Teofil zapala świeczkę, czyta tekst przysięgi, każe krawcowi powtarzać. Jędrus przyrzeka. Zabiera swoje czterdzieści osiem florenów i ucieka.

Nazajutrz pójdzie do wójta. Wójt wezwie pisarza. Pisarz spisie, co powie Jędrus i zanieś do cyrkułu.

MARIANNA MOGŁABY SIĘ ZAKOCHAĆ, ALE MAMA NIE POZWALA

Jest 19 grudnia 1845 roku. Okropny przestrah przeżyła wczoraj Marianna. Późno w noc modliła się przy oknie, gdy ktoś zajechał do dworu. Za chwilę przyszedł Teofil pomieszany i blady. Dostał ostrzeżenie: mają go aresztować! Marianna biegnie po tajne papiery. Teofil pali je w kominku – Mariannie żal: tyle pięknych myśli musiało tam być!

Rano Teofil chce wyjechać, ale niespodziewanie wpada od siedmiu lat niewidziany kolega Aleksander. Teofil zmienia decyzję – wyjedzie po świętach.

21 grudnia mijają dwa dni, odkąd Aleksander bawi w Dołędzie. Marianna przyznaje, że ma miły głos i ładne ułożenie. Bawią się w karty-kabały i spacerują, aż Marianna nie przemakają trzewiki!

23 grudnia, niestety, znów zanoszą się na nieprzyjemności dla Marianny. Aleksander zaczyna za dużo być grzecznym... Znalazł rękawiczkę Marianny i zażądał znaleźć, na to weszła mama, popatrzyła surowo i zabrała Mariannę do domu. Mama zimno przyjmuje Aleksandra. Może to przez Mikołaja? Marianna tymczasem... Cóż, Marianna mogłaby się i zakochać, tylko że mama nie pozwoli, nigdy! Zresztą nie czas myśleć o miłości, coś ważniejszego wisi w powietrzu.

29 grudnia – grom z jasnego nieba. List z oświadczeniami Mikołaja! Mama czytała, a Mariannie w oczach się ćmiło, czuła, że leci w przepaść i kiedy mama już moczyła pióro, by odpisać, krzyknęła „Nie pójdę!” i zanosła się od płaczu... Mama klękała przed nią, przekonywała: przecież Mikołaj nie taki wstręty, przyzwyczaj się. Może i przyzwyczaiłaby się Marianna, ale nie po tym, jak poznała kogoś o miłym głosie i ułożeniu.

Mama odpisała: Marianna nie pójdzie.

Teofil chce wypędzić cesarza i grozi szablą.

12 lutego 1846 roku, o godzinie 16, przed komisją śledczą w Bochni staje Franciszek Golik, dwudziestoczteroletni chłop pańszczyźniany. Donosi o zamiarach rewolucyjnych dziedzica Teofila Pikuzińskiego.

Teofil znów był nieostrożny.

Dwa tygodnie temu Golik wiozł dziedzica do Brzeska. Pikuziński zapytał, czy słyszał o wojnie. Golik nic nie słyszał. Na to Teofil zapowiedział, że wojna wybuchnie w Bochni, Tarnowie i Rzeszowie szybciej niż stopnieje śnieg.

MARIANNA JEST GOTOWA NA ŚMIERĆ

Marianna wolałaby umrzeć. Od oświadczyn minęły dwa tygodnie. Mama smutna, Mikołaj desperuje. Marianna roztrząsa sumienie, lecz czuje się niewinna. Mama zabiera ją do Krakowa.

19 lutego wracają. Podróż okropna. Zadymka i wiatr taki, że konie nie chcą iść. Nocują w karczmie. Mama ma okropny sen. Widzi sześciu martwych ludzi, między nimi Teofila. – Mamo, ja już nie żyję – powiedział. Modlą się aż do rana.

W Dołędzie, okazuje się, że Teofila nie ma. Uciekł. Chłopi donieśli, że namawia do powstania.

Kilka dni potem Marianna z mamą przeżywają napad na dwór.

O północy słyszą brzęk tłuczonych szyb. Ledwie narzuca coś na siebie, wrzask: Otwierać, otwierać! Masa ludu z cepami, kosami i pałkami wpada do dworu, jak szaleni latają po pokojach, ledwie się mieszczą – szukają broni. Widłami wywalają zawartość szaf. Przyprowadzają służbę i zaczynają bić. Marianna chce rzucać się, ręce całować,

by przestali, ale zamierzają się na nią kosą: Pójdziesz, rebeliantko, bo ci głowę utnę!

W sobotę, niedzielę i poniedziałek jest już Marianna zupełnie na śmierć przygotowana. Ponoć chłopci mają wrócić i wszystkich zabić. Marianna budzi się i sprawdza, czy żyje. Śpi tak mocno, że mogliby ją śpiącą zamordować.

TEOFILA NIE MA

Teofila nie ma i nikt nie wie, co się z nim dzieje.

Podobno siedzi w więzieniu. Podobno uciekł, przebrany za chłopca. Podobno nie żyje. Ktoś widział go w Kielcach, na Węgrzech, w lesie...

Mariannie zdaje się, że to wszystko sen trapiący. Czy mógł Teofil zginąć pod cepami? Taki młody, silny, taką okropną śmiercią? Żal jej Anusi. Żona Teofila załamała się, tylko płacze i z dziećmi się bawi.

Tymczasem na wsi niespokojnie. Chłopi boją się pomsty. W Dołędze bieda – nie ma czym siać. Pani Wendorfowa, żona dzierżawcy z Woli, ma napady szaleństwa. Dostaje ataku i przywożą ją na plebanie nagą, pokrwawioną, owiniętą futrem, związaną i śpiewającą krakowiaki. Wkrótce umrze.

Świat jest dla Marianny martwy jak grób. Wlecz się życie, oby dowiekło się do końca.

Coraz rzadziej zwierza się pamiętniczкови.

W styczniu 1847 roku robi to po raz ostatni. Szczęście – notuje – to podarek Boży.

Więcej nie pisze.

KOWAL FRANCISZEK ZEZNAJE

26 stycznia 1847 roku kowal Franciszek Romański, oskarżony o zdradę stanu, zeznaje przed cesarskim sądem karnym.

Opowiada o Teofilu Pikuzińskim. Tej feralnej nocy, która pogrzebała powstanie, spotkał go kilka razy.

W dworze w Sieradzy czekał na nich wóz. Mieli dostać się na nim do Tarnowa, na cmentarzu poczekać na znak do ataku... Nigdy tam nie dotarli.

Na błoni, pod karczmą, która nazywała się Wytrząska, zatrzymał ich oddział chłopów z cepami, widłami i pałkami. Parobek próbował uciekać, ale tylko wywrócił wóz.

Wtedy napadli ich chłopci.

To była rzeź.

Kiedy Franciszek odzyskał przytomność, dowlókł się do stodoły. Leżał tam jakiś czas. Potem go znaleźli, zamknęli i powieźli do Tarnowa. Zanim dojechali, zatrzymali się przy stodółce: leżało w niej pięć trupów. Był wśród nich Teofil Pikuziński.

Był prawie nagi, ale Franciszek rozpoznał go od razu: po wzroście, rudawych włosach i brodzie. Miał na sobie tylko pokrwawioną koszulę i gatki, z reszty go obdarto.

Położyli go na bryczkę obok Franciszka i powieźli do Tarnowa.

MARIANNA PORZUCA PAMIĘTNIK

Marianna nie wyjdzie za Mikołaja ani za Aleksandra o miłym głosie. Dwa lata po rabacji poślubi innego Aleksandra – Günthera. Nie wróci do pisania dziennika (a może wróci, lecz lepiej go ukryje), więc nie dowiemy się, czy to małżeństwo z miłości. Doczekają się dziewięciorga dzieci.

Nie wiadomo, czy dowie się, co spotkało Teofila.

Nie będzie miała urazy do wsi. Wybuduje szkołę, a Włodzimierz Tetmajer w nekrologu nazwie ją wierną ludu przyjaciółką.

Marianna umrze w 1906 roku w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat. Zostanie po niej sekretny dziennik, pisany w zeszycie.

O wydarzeniach zimy 1846 roku ludzie będą powtarzać legendy. Legendy będą krwawe i będzie w nich występował Teofil.

Ktoś powie, że był okrutny dla chłopów. Że uciekał, kiedy po niego przyszli. Że ukrył się w spróchniałej wierzbie i że chłopci, którzy go tam odnaleźli, przerznięli go piłą na pół, razem z drzewem.

To oczywiście nieprawda. Wie o tym każdy, kto próbował siać drzewo.

Ale – jeśli zechcecie – możecie poszukać tego pniaka.



Mąż Marianny Aleksander Günther, z arch. MOT

Marianna z Pikuzińskich Güntherowa, z arch. MOT

SPIS TREŚCI

Dwór z Drogini, Wygiełzów	4
Portret znaleziony w tubie	
Zagroda ze Staniątek, Wygiełzów	14
Weteran	
Dwór Moniaków, Zubrzyca Górna	24
Spod znaku wilka	
Tartak i folusz, Zubrzyca Górna	34
Historie z życia i szycia	
Willa Oksza, Zakopane	42
Papierem i drewnem	
Chałupa Gąsieniców Sobczaków, Zakopane	50
Zbiór wieszczki Mary	
Kościół rzymskokatolicki z Łososiny Dolnej, Nowy Sącz	60
Siedemnaście tysięcy dusz	
Zbór ewangelicki ze Stadel, Nowy Sącz	68
Pamięć cyfr	
Zagroda maziarska w Łosiu	76
Koniec imperium mazi	
Cerkiew greckokatolicka w Bartnem	86
Sęki	
Zagroda Felicji Curyłowej w Zalipiu	94
Testament sztukmistrzyni	
Dwór w Dołędze	104
Pamiętniczek z lotu w przepaść	

Rozwinięcie skrótów użytych w książce:

MDKG – Muzeum Dwory Karwacjanów i Gładyszów
MEK – Muzeum Etnograficzne im. Seweryna Udzieli w Krakowie
MIK – Małopolski Instytut Kultury
MNPE – Muzeum – Nadwiślański Park Etnograficzny
w Wygiełzowie i Zamek Lipowiec
MONS – Muzeum Okręgowe w Nowym Sączu
M-OPE – Muzeum – Orawski Park Etnograficzny w Zubrzycy Górnej
MOT – Muzeum Okręgowe w Tarnowie
MT – Muzeum Tatrzańskie im. Dra Tytusa Chałubińskiego
w Zakopanem
NAC – Narodowe Archiwum Cyfrowe

Jeśli nie podano nazwiska autora fotografii, jest on nieznanym.
Więcej o obiektach, a także wybrana bibliografia na
www.dnidziedzictwa.pl.

Małopolski Instytut Kultury to instytucja kultury Województwa Małopolskiego wspierająca rozwój sektora kultury w regionie. MIK pracuje w obrębie trzech obszarów strategicznych: bada i analizuje procesy zachodzące w kulturze, prowadzi działalność edukacyjną i szkoleniową skierowaną do kadr kultury, a także upowszechnia wiedzę o dziedzictwie kulturowym regionu.

Małopolskie Dni Dziedzictwa Kulturowego to wyjątkowe wydarzenie, pozwalające na osobiste spotkanie z najpiękniejszymi i najciekawszymi miejscami Małopolski. Zaproszenie na nie kierowane jest do osób, które czas wolny chcą spędzić na odkrywaniu miejsc niezwykłych i poszukiwaniu korzeni swojej tożsamości.

Inicjator:  Organizator: 

Gospodarze:   
  

Sponsor nagrody: 

Patroni medialni:  
 
  
 

ISBN: 978-83-61406-72-3

Publikacja bezpłatna